

KRONIKA

RODZINNA

N^o 2.

Warszawa, dnia 3 (15) Stycznia 1874 r.

Serya II

Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biurze Redakcyi, z odnośnieniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.

Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądze nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi
przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 75.

W Cesarstwie Austriackim—w Lwowie w Księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 80. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.

W Krakowie w Księgarni Friedla: Kwartalnie w miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.

W W. księstwie Poznańskim—w Poznaniu w Księgarni Daszkiewicza po cenie: Kwartalnie w miejscu tal. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową tal. 1 gr. 6.

TRESC. Geneza pozytywizmu u nas.—Róża Jerychońska, wiersz przez Edmunda.—Listy z podróży A. E. Odyńca. VIII. (Dokończenie).—Silva rerum.—Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku przez J. I. Kraszewskiego. (Ciąg dalszy).—Korespondencye: z Petersburga, przez Artura Dolifskiego; z Krakowa.—Wrażenia z Wystawy Wiedeńskiej, przez B. Sulitę. V.—Wiadomości literackie: Die Einheit des Menschengeschlechts v. Rauch, p. Wł. D.

Geneza pozytywizmu u nas.

Czem to się dzieje, że pozytywizm tak łatwo u nas się rozgościł, rozszerzył w piśmiennictwie, zawładnął uczącą się młodzieżą, która, jak gdyby z innego pochodząca szczepu, niepomna tradycyjnych zasad, niepomna wiary ojców, nagle, bez przejścia przyjęła i adoptowała za swoje najsmielsze a zarazem najnieodrzeczniejsze wyniki materjalizmu? Czem się to dzieje, że ów pozytywizm gdzieindziej nie ma ani tak gorących wyznawców, ani tak hucznego rozgłosu, i że wyjątkowo w naszym zakątku tak się rozwielił? Fakt ten smutny, a zarazem zastanawiający musi mieć swoją przyczynę. Czy pojawił się wśród nas mąż świetnego umysłu, badawczością myśli i urokiem słowa obdarzony, któryby zapalny umysł młodzieży na te błędne pociągnął bezdroża? Jest to bowiem świetny choć niebezpieczny przywilej umysłowej wyższości, że łatwo gromadzi w około siebie uczniów i wielbicieli. Taki wpływ wywierali u nas na kierunek myśli w swoim czasie: Sniadecey, Mickiewicz, Lelwel, Krasieński, Cieszkowski i Trentowski. Nikogo jednak podobnego obecnie dopatrzeć nie możemy. Pisma i pisemka o pozytywizmie traktujące są albo tłumaczeniami dzieł obcych, mianowicie niemieckich, albo kompilacyami nad sferę mierności nie wykraczającemi. Wyższej samodzielności próżno w nich szukamy. Nie tu więc przyczyna faktu, który nas zajmuje.

Czy kierunek społeczny, ku pracy nad materją od dawna zwrócony, do tak jednostronnego zapatrywania się umysły przysposobił? Czy możemy się pochłubić wielkimi postępami przemysłu, ważnymi odkryciami i wynalazkami, któreby pracy i poszukiwaniom ludzkim nowe torowały drogi? Pojmujemy, że w przemysłowych krajach Europy, zawładnięcie materją upoiło dumą część pewną ludzi, wiary nie mających, i doprowadziło ich do negacyi prawd

wyższych, duchem ludzkim rządzących; że są tam tacy, którzy to tylko za prawdziwe uznają, co cyrklem, mikroskopem lub analizą da się przez nich zmierzyć i rozpoznać: ale u nas rzecz się ma całkiem odmiennie. Przemysł w uspieniu, handel mało rozwinięty, gospodarstwo nawet starej trzymające się rutyny, charakter nader chwiejny, marzący, do illuzyi skłonny, ścisłości nie lubiący, więcej artystyczny niż pozytywny, a wśród tego naukowe i filozoficzne teorye najczystszej materjalne¹⁾. Zatem nie przedmioty zajęć i pracy, ani naturalne skłonności narodu są tego smutnego objawu przyczyną. Szukać jej trzeba raczej w odwrotnym kierunku.

Przedostatnia faza naszego społecznego życia nacechowaną była rozmarzeniem. Nie tu miejsce badać jaka kolej wypadków, jaki wątek uczuć i myśli ten charakter społeczeństwu nadały; dosyć uznać, że tak było istotnie. W życiu rodzinnem, w pojęciach religijnych, w piśmiennictwie, w prowadzeniu spraw własnych, nakoniec w objawach publicznego życia, wszędzie panowała illuzya, brak ścisłości, nierachowanie się z rzeczywistością. O angielskich marząc stosunkach gospodarowaliśmy tak, jak gdyby żadna społeczna nie czekała nas reforma; pozabawieni przez długi czas szkoły wyższej, szukaliśmy po za krajem, wśród odmiennych stosunków, środków wychowania i ogólnego tylko kształcenia młodzieży, ale żadnego specjalnego nie zakładali w niem celu; w piśmiennictwie żywieni zbyt wyłączenie poezją, a przy niej powieściami, wytwarzaliśmy sobie nieuchwycone ideały albo bałamucili pojęcia i sądy rojeniami wyobraźni podniecającemi; w religii samej interpretowaliśmy

¹⁾ Dla usunięcia wszelkiej wątpliwości zaznaczyć tu winniśmy, że w tak zwanym pozytywizmie rozróżniamy stanowczo metodę badań objawów przyrodzonych, mogącą w tym porządku rzeczy ważne oddać przysługi, od wniosków na hipotezach opartych, jakie z tych badań wyprowadzają, które wkraczając w sferę prawd nadprzyrodzonych obalają podstawy religii i moralności chrześcijańskiej.

na naszą korzyść prorocstwa i domysły, niepomni, że tylko katechizmowa ścisłość wiary połączona z wypełnianiem obowiązków, jest cechą prawdziwej religijności i drogą do zasługi. Po takim nastroju ducha nastąpiło i nastąpić musiało rozczerowanie. Trzeźwiejsze umysły opatrzywszy się, poznały, że ich za daleko uniosły pragnienia ideału, ale poznanie to zasad w sercu zaszczerpionych nie osłabiło. Część atoli znaczna chęciwej nowości młodzieży inną poszła drogą. Gdy od lat kilkunastu nikt wyżej myśla nie sięgnął, nikt nad poziom powszedni się nie wzbilił,—ona szukając torów dla myśli w obczyźnie, uchwyciła krańcowe teorye w innych krajach i pod wpływem odmiennych przyczyn wyrosłe, a uchwyciła tem łatwiej i skwapliwiej, że one były w radykalnej sprzeczności z temi, które rozczerowania stały się powodem. Z nieokreślonego idealizmu rzucono się w materjalizm; z duchowej pychy w teorye materjalne, godność natury ludzkiej poniżające. Duch nieśmiertelny stał się w ich pojęciu mózgiem; człowiek na obraz i podobieństwo Boga stworzony, urobkiem bezwiednym z larwy, a w bliższym rodowodzie potomkiem małpy, której naturalne przymioty instynktowo w wyższym tylko rozwinął stopniu. Nie dla usprawiedliwienia błędów pozytywizmu wywód ten robimy, ale jak patolog bada przyczyny organicznych zbożeń, aby z nich lecznicze wyprowadzić wnioski, tak ze stanowiska psychicznego, pożyteczna jest rozpoznać jakie okoliczności doprowadzić mogły do tak nagłego i z naturą naszą niezgodnego przewrotu wyobrażeń. W reakcyi przeto widzimy pierwszą dotykalną przyczynę złego, które każdego chrześcijanina głęboką przejmuje boleścią.

Sama jednak reakcyja nie zdolnaby była tak radykalnego dokonać przewrotu, gdyby była zastała silnie zaszczerpienie w umysłach pewne afirmacye prawd niespożytych, po nad nauką i jej badaniami górujących, bo przez samego Stwórcę wszech rzeczy objawionych. Człowiek najsmielszego umysłu, jeżeli nad kolebką jego

wznosiła się gorąca matki modlitwa, jeżeli pierwsze połyski jego myśli były przez nią ku uczczeniu i poznaniu Boga zwrócone, uczuje dreszcz zbawiennej trwogi gdy ujrzy, że dociekania jego doprowadzają do negacyi tego wszystkiego co ludziom dotąd pokój przynosiło, co koilo najcięższe serca boleści, co węzłem miłości i ofiary ludzi zobopólnie łączyło. Tu w istocie między zasadami dotychczasowymi, a temi które materializm pozytywizmu na jaw wy dobył, otwiera się przepaść pochłaniająca wszystko, co człowiek dotąd wielbił, cenił i kochał, a w miejsce tego występuje jako zadanie ludzkości i człowieka: Walka o Byt i cześć dla materialnej siły.

Cóż zatem jest przyczyną, że chwila reakcyi nie zastała w duszach tych afirmacyj ustrzedz mogących od tak bolesnych zbroceń; że nowi wyznawcy materializmu z tak naiwną śmiałością wygłaszają zdania, radykalny przewrót w wyobrazeniach i ustroju społecznym zapowiadające; że nie widać i nie czuć w ich pismach owego dreszczu trwogi, który przebija się nawet w niektórych dziełach ich cudzoziemskich mistrzów?.. Nie wahamy się twierdzić, że niedostatki wychowania rodzinnego znacznie się do tego przyczyniły.

Idealizm, o którym wspomnieliśmy, był marzącym, ale nie był silnie i rozumnie wierzącym. Ztąd w wychowaniu rodzinnem były nieokreślone pragnienia, aspiracye do wyższych powołań i celów; ale rzeczywistej, że tak powiem pozytywnej wiary zaszczerpionej nie było, ani gruntownej znajomości zasad religii, któreby powstrzymać mogły zbroczenia umysłowe często w nauce przytrafiające się. Na dziesięciu wyznawców dzisiejszego pozytywizmu, ręczyć można, że dziewięciu przynajmniej nie umiało za młodu, a niezawodnie nie nauczyło się później owych czterech prawd katechizmowych, które każdy człowiek „*pod utratą zbawienia wierzyć i wiedzieć powinien*”: bo w idealnych sferach zatopione matki, jedne ulotną literaturą, inne świecidlami mody zajęte, nie dosyć powtarzały i nie dosyć tłómaczyły te prawdy na swoich kolanach dzieciom; ale natomiast zabawiały ich wyobraźnię tęczowemi rojeniami, lub fałszywą egzaltacją.

Wiemy dobrze, że zarzut ten ogólnym nie jest, że były i są matki rozumiejące dobrze swoje obowiązki; ale że wiele, zbyt wiele było i jest dotąd w tym kierunku zaniedbania, tego nikt znający dobrze społeczeństwo nasze zaprzeczyć nie może. Pismu naszemu, które się Kroniką Rodziną nazywa, przystoi i wypada te błędy wytknąć i przyczyny złego wykazać. Kobietom i matkom, które często bardzo powołują nas do oddziaływania przeciw zgubnemu a tak rozszerzonemu kierunkowi umysłów, odpowiadamy: że próżne będą dzieła i pisma, jeżeli matki w swych dzieciach nie zaszczerpią od lat najmłodszych ścisłych zasad wiary, które w późniejszym czasie wiele okoliczności i wpływów osłabia, ale które w stanowczych chwilach życia odzywają się w duszy człowieka i chronią od upadków.

Trzecią nakoniec przyczyną objawu, który nas zajmuje, jest błędne pojmowanie idei postępu. Błąd to między nami nie nowy, a dzisiejsze naukowe teorye utwierdziły go i wzmocniły. Według tych bardzo upowszechnianych pojęć, postęp ma być prawem koniecznego i

nigdy nie ustającego rozwoju ludzkości; wszelka zatem bez różnicy społeczna działalność, w koniecznym swoim następstwie sprowadzać ma postęp ku lepszemu i szczęśliwшему. Nie dopuszcza się tu ani błędów ani zbroceń, bieg ten wstrzymać a nawet cofnąć mogących. Ztąd pochodzi, że wszystko co nowe, lepsze jest od tego co było; wszystko co jest, nie ma zapewnionego istnienia i na lepsze prędzej czy później przemienione będzie. W takim pojmowaniu znika niewzruszoność zasady moralnej, a wiadomość złego i dobrego, odróżnienie prawdy od fałszu, ustępują miejsca wiadomości o tem co nowe i świeże, a co dawne i zużyte; ludzkość jest sama sobie celem, ona też własnymi i zupełnie niezależnymi siłami wyrabia swoją przyszłość; każda zatem jej robota, bez względu na zasady i środki, jest krokiem naprzód w dziele uszczęśliwienia i postępu.

Wiele zacnych serc i niepospolitych umysłów, ujętych tem ułudnym pojmowaniem celów ludzkości, zeszło na bezdroża, i straciło criterium sądu o wypadkach dziejowych, zwłaszcza społecznych.

Na tak przysposobionym gruncie, pozytywizm i z nim ściśle połączone wywody Darwina o pochodzeniu człowieka, łatwo przyjąć się mogły. Skoro bowiem za pomocą walki o byt, wyboru naturalnego i dziedziczności, bezrozumne zwierzę długim szeregiem bezwiednych przekształceń przemieniło się w człowieka; tem bardziej człowiek, własnym zostawiony siłom, żadnym nie kępowany prawem, dojdzie niezawodnie do coraz wyższego ukształcenia, a ludzkość do coraz większego uszczęśliwienia. Prawo ciągłego i naturalnego postępu wychodzi tu zwyczajko: ono larwę ascydy przemieniło w czteronożne zwierzę, zwierzę w małpę, małpę w człowieka, którego z kolei w wyższą także przemieni kiedys istotę. Niech zatem nikt robót jego nie wstrzymuje, niech nikt pochodu postępowego ludzkości prawami z góry nadanymi nie wiąże, bo wszechwładny człowiek jest jedynym dla siebie prawodawcą. Tory przekształceń są wskazane. Będzie walka o byt—ale straszniejsza, bo rozumem zaprawiona; będzie wybór naturalny—więc nieprzebierający w środkach; będzie dziedziczność—żadnym wyższym nie hamowana cugłem. I tak będzie ciągle bez kresu i spoczynku, bo tego wymaga prawo postępowych przekształceń—roślin w zwierzęta, zwierząt w ludzi, a ludzi.... w barbarzyńców horde!

Spodziewać się słusznie można, że hipotezy Darwina w ostatnich swoich konkluzjach posłużą za opatrzną przestrożę dla wielu zbłąkanych wprawdzie, ale prawego serca i trzeźwego umysłu ludzi; bo im dotykalnie wykażą, do jakich wniosków doprowadza nieuznanie prawd wyższych, człowiekiem samym i społeczeństwem rządzących. I my także uznajemy możność postępu i szczerze go pragniemy, ale zgodnie z zasadami chrześcijańskimi: drogę do niego upatrujemy w coraz dokładniejszym poznawaniu przymiotów Boga, dzieł Jego i praw przez niego objawionych; oraz w lepszym wypełnianiu obowiązków względem bliźnich, temi prawami nakazanych. Nie przypuszczamy, aby jakiegokolwiek badania naukowego, doprowadzające do zapoznania lub odrzucenia wielkich prawd nadprzyrodzonych, mogły dobre sprowadzić skutki; ale także przekonani

jestemy, że gruntowna i sumiennie kierowana nauka, nigdy do takich nie doprowadzi wniosków. Po latach kilku lub kilkunastu wykryte zostaną zbroczenia pysznych umysłów, prawdziwe zaś nabytki wiedzy przetrwają dla pożytku ludzi i większej chwały Stwórcy wszechświata, co w nas z mułu ziemi ulepionych, tchnął ducha niesmiertelnego. W tem pojmowaniu postępu niema zaiste nic nowego, nic coby powabem niezwykłości umysły nęciło. Postęp na tej drodze zdobywa się wytrwałością w zasadach, walką z naszymi skłonnościami, sumienną pracą w szerzeniu nauki i oświaty, nakoniec żywą bliźnich i dobra ogólnego miłością. Stare to zaiste prawdy, ale choć stare, rzadko wykonywane bywają, i dla tego właśnie postęp społeczny jest tak powolny, a często nawet w pochodzie swoim na długo wstrzymywanym bywa.

Na przeciw zatem teorii nieskończonych przemian, kruszących dzisiaj to co wczoraj uwielbienia bywało przedmiotem, my uszanowanie religijnych i społecznych zasad za pierwszy warunek postępu uznajemy. Ale na zajęciu tego zachowawczego stanowiska, sfery obowiązków względem społeczeństwa bynajmniej nie ograniczamy. Jak wiara bez uczynków jest martwą, według słów wielkiego Apostoła narodów, tak zachowawczość sama, konserwatorstwem zwykle zwana, bez czynnego w sprawach społecznych udziału, staje się przymiotem biernym, a ze strony ludzi mających interes w zachowaniu wszystkiego co jest w nich nienaruszonym porządku, przybiera zbyt często cechę konserwatorstwa własnej wygody. Ludzie wiary i ścisłych zasad większy jeszcze, zdaniem naszym, mają obowiązek przykładania się do wszystkiego, co rzeczywisty postęp ku dobremu w społeczeństwie sprowadza: naprzód dla tego, że im to nakazuje prawo Boże i miłość bliźniego; powtóre, że ich obojętność, na szkodę wiary przez jej nieprzyjaciół wyzyskiwaną być może. Dodajmy jeszcze, że w każdej podjętej na tem polu pracy, odznaczać ich szczególnie powinna rozwaga i wytrwałość; że mniej dbając o pozory i łatwy poklask rzeszy, przykładac winni całą usilność, aby to co przedsięwzięte dobrze wykonaniem było. Tą drogą postępując, ludzie konserwatorskich przekonań odpowiedzą godnie religijnym i obywatelskim swoim obowiązkom: bo zachowując wszystko co zacne, dobre i pożyteczne, przyczynią się zarazem do prawdziwego społecznego postępu.

Pismu też naszemu pewne obowiązki do wypełnienia w udziale przypadają. W obec zalewu materialnych prądów powodzą groźących, a mianem pozytywizmu filozoficznego okraszonych, stawiać ono powinno pozytywizm wiary i nauki kościoła; w obec rojeń nieuchwyconego idealizmu, rozszerzać i rozjaśniać pojęcia obowiązków w każdym stanie i powołaniu; bez względu na pociski stać zawsze mężnie przy prawdzie, a w obronie przekonań swoich mieć też zawsze za godło to mądre zdanie Wielkiego Doktora kościoła, filozofa i zwycięzkiego w swoim czasie polemisty: „*In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas.*”

RÓŻA JERYCHOŃSKA.

Jest róża, co kwitnąć nigdy nie przestaje;
Jak źródło nadziei, kwiat jej nie usycha.
Mówią, że z pod ruin wyrasta Jerycha.
Czyżby jej ojczyzną były śmierci kraje?

Listki jej od grobów spać się zdają ciszej;
Lecz niech-no je zwilży choć kropelka wody,
Do życia się budzą—jak kochanek młody,
Gdy na łożu śmierci luby głos usłysz.

O! kropelko wody! ty różo kochanko!
O! miłości! życia Jerychońska różo!
Czemuż spadasz raczej nie rosą, lecz burzą?
Czemu cierni tylko życie jest wiązanką?

„Bo życie—głos jakiś na to mi odpowie—
„Jest tem dla miłości, czem dla róży ciernie.
„Tym tylko, co w życiu krzyż dźwigają
wiernie,
„Jerychońską różę dadzą Aniołowie.”
Edmund.

LISTY Z PODRÓŻY

A. E. Odyńca.

VIII.

Do Julijana Korsaka.

(Dokończenie.)

Ale wracając do siebie—widzę w notatkach, że następuje z kolei nauka języków i balet. Nie bój się wszakże, nie będę ci mówił o gramatyce. Powiem tylko, co do włoskiego, ciekawe, jak mi się zdaje, doświadczenie własne. Czytam z moim nauczycielem *Promessi Sposi* Manzonięgo, gdzie jest mnóstwo scen i dialogów ludowych. Otóż nie umiem ci wypowiedzieć, jak to czytanie, niezależnie od treści, robi na mnie szczególniejsze wrażenie. Wiesz, że wjeżdżając do Włoch nie umiałem ani słowa po włosku. Teraz już umiem tyle, że się mogę rozmówić. A nauczyłem się tego wprost z praktyki; bo poezye, które z Ciampim czytałem, na nic mi się w potocznej mowie nie przydają.—Czytając więc te sceny ludowe, spotykam mnóstwo wyrazów i wyrażeń, które już znam ze słyszenia: a każde z nich, jak ton muzyki, przypomina mi razem mimowolnie i niejako stawi przed oczy okoliczności i miejsca, w których je po raz pierwszy słyszałem. Tym sposobem, samo brzmienie wyrazów budzi we mnie całe szeregi obrazów, a wraz z nimi wspomnień i uczuć, żadnego z ich znaczeniem związku nie mających. Sprawia to osobliwszą jakąś sensację, jakiej dotychczas nigdy nie doznałem.—Wyciągam zaś z tego ten wniosek: że tajemniczy ów urok, jaki czujemy nieraz w samych słowach mowy ojczystej, pochodzić musi nie z kąd inąd, jak z owych, chociażby zapomnianych, ale zawsze gdzieś w duszy żyjących uczuć albo wrażeń, jakie na nas kiedyś w dzieciństwie słowa te po raz pierwszy sprawiły. Ztąd też to tłumaczenia poezyj obcych, jeśli są dobre, (to jest, jeżeli tłumacz nie jest zdrajcą autora, jak mówią Włosi: *traduttore—tradittore*), miłsze są dla krajowców od oryginałów; bo czują oni w nich urok wyrazów, kiedy tymczasem czytając choćby najlepiej rozumiane oryginały, mogą czuć tylko urok myśli, obrazów lub stylu.—Komunikowałem te moje myśli Adamowi, który ich za bezzasadne całkiem nie uważa. Na pró-

bę zaś wrażenia przekładu i oryginału, odczytywaliśmy wiele strof *Jerozolimy Wyzwolonej*, porównyując je z tłumaczeniem Piotra Kochanowskiego, które ja albo on umiemy na pamięć; i niektóre z nich, chociaż nie wszystkie, wytrzymały rzeczywiście tę próbę na korzyść mojego twierdzenia.—Ale spróbujże czytać w oryginale *Amfitryona* Moliera, po tłumaczeniu Zabłockiego, albo *L'enfant prodigue* Woltera, po *Synu Marnotrawnym* Trębeckiego; a obaczysz, jak wiersz francuzki błędnie i mdleje przy polskim. Samo nawet *Pożegnanie Childe-Harolda* z Byrona, czyż nie milej brzmi dla nas w przekładzie Adama?—On sam na to zgodzić się nie chce, ale ja obstaję przy swoim, i spodziewam się, że znajdę wkrótce poplecniczkę w pannie Anastazyi, z którą właśnie wiersz ten czytamy; jeżeli nie z powodu języka, to *a conto* samego tłumacza. Bo dla niego to, nie dla polonizmu, niewam teraz parę razy w tydzień przyjemność siedzieć obok po całych godzinach z piękną moją uczenniczką, nachyleni razem nad książką—której małej format najbardziej wtedy oceniam i lubię.

Początkiem zaś tych lekcyj był bal u księcia Gagaryna d. 6 t. m. to jest w dzień Trzech Króli tutejszych, a świąt Bożego Narodzenia u was. Był to bal pod tytułem *dziecinny*, bo było z kopę *bambinów*, różnego wzrostu i wieku, a dla nich były drzewka z cackami i profuzya słodkich łakoci. Dzieci też rozpoczęły tańce; ale gdy jedne z nich wkrótce wyniesiono, a drugie po kątach posnęły: zaczął się bal prawdziwy dla starszych, których było osób sto najmniej. Ale co dla mnie, to był on rzeczywiście we trzech tylko osobach—tak przy nich nie zważałem na inne. Panienci nasze z *Via Mercede* i panna Anastazyja składały owo *trio*. Znały się już one i lubiły nawzajem od czasu wspólnych kursów archeologii rzymskiej u Viscontego; ale po naszym przyjeździe do Rzymu, na tym balu dopiero spotkały się raz pierwszy. Przybyło zaś im nowe, (wcale nie martwe i nie zimne jak marmur), ogniwo stosunku—żywy *bard*, jak między sobą nazwały Adama. On sam także często był przy nich; i ja wtedy byłem sobie jak piąte koło u wozu. Ale za toż skoro on odszedł—ja występowałem w rozmowie jak księżyc po zachodzie słońca: mając pole, przed niemi razem, mówić o nim obszerniej i więcej, niżby może było właściwem, mówiąc pojedynczo przed każdą. Bo on to był wyłącznym przedmiotem rozmowy. A kiedy panna Henryeta, z wielkim prawdziwie wdziękiem i talentem, opowiadała treść *Dziadów*; a panna Anastazyja słuchając, ubolewała, że sama tego czytać, choćby bardzo chciała, nie może; ja chwytając w lot sposobność przysługi, oświadczyłem się—i zostałem przyjęty—jako instruktor czytania po polsku.—Co zaś do wzajemnego uczenia mię przez nią lepszej nieco pronuncyacji francuzkiej, to się także odnosi niejako do drugiego balu u tegoż księcia Gagaryna, który miał miejsce dnia 13 t. m. to jest w dzień Nowego Roku ruskiego. Był to już bal dyplomatyczny; bo byli wszyscy Posłowie, Sekretarz Stanu, Kardynał Albani, i cały wielki świat rzymski. Mówiono mi, że było zaproszonych 400 osób, i zapewne musiały przyjść wszystkie, bo tłok był jak na kiermaszu. Tańce poprzedził teatr amatorski. Urządzenie sali i dekoracje przesliczne. Dwie sztuczki francuzkie:

Manie des proverbes i *Les deux cousins* udały się pr zewybornie. Trupę aktorów składała sama *grandezza*, rzymska i cudzoziemska. Między innymi występowała księżna Iza, wraz z mężem, który grał rolę kochanka, i hr. Alfred Potocki, w roli opiekuna. Ściany drżały od grzmotu oklasków, ilekroć księżna Iza ukazała się na scenie. Świat bowiem tutejszy, jak Parys, jej przysądził jabłko i berło piękności podczas teraźniejszego karnawału. A podobieństwo do sądu Parysa tem większe, że współzawodniczkami jej były dwie Angielki: Lady Seymour i Lady Gladstone, piękne, majestatyczne, jak Juno i Pallas, ale też dumne i sztywne jak one.—A księżna Iza!!! Jest i tu majestat godności; ale ten gaśnie przed urokiem wdzięku. Jest to królewskość, która daje swobodę. W osobistości, tchnie tu jeszcze zarazem jakby duch tradycyjnej przeszłości!.. Dobrze, że mąż jej nie dał nikomu innemu grać roli jej kochanka na scenie: bo cóżby ten nieborak poczał z sobą po zapuszczeniu kortyny? —

Owóz to powodzenie amatorskiego teatru na tym balu, podało myśl księżnej Zeneidzie: urządzić coś podobnego u siebie, choćby tylko na miniaturową skalę; a to tem bardziej, że już przez trzy niedziele z rzędu, odegrywała się u niej *de facto: Manie des charades en action*, w których zazwyczaj ja figuruję. Pan Ricci powiada, że aby się taka szarada udała, potrzeba albo wiele osób, albo wiele dowcipu. Otóż cała nasza szaradowa truppa składa się najwięcej z dziesięciu osób, a cały ekspens dowcipu w pomysłach, ponosi zwykle albo sama księżna, albo panna Anastazyja. Dla mnie najmiłszą jest rola automata, zwłaszcza w garderobie, gdzie z nas—to jest z nas mężczyzn—jak z niezgrabnych kłoców, piękne nasze współ-artystki, (odwrotną metodą Cyrcy) wytwarzają rycerzy lub bożków, (zły język mógłby powiedzieć: *balwanów*), kostiumując nas same, i nadając nam posągowe pozy. A to wszystko nie obywa się bez śmiechów, żartów, sporów, lub karcenia za zbytnią wdzięczność. A jest komu ją okazywać! Bo oprócz panny Anastazyi, do grona szaradowej trupy należą zwykle dwie ładne panny Siemionow, i młodzianka i śliczniczka, milutka Francuzeczka, panna Luiza Vernet, córka Horacego, o której bodaj że ci kiedyś wspomniałem. Ale było to chyba wtedy, kiedy za pierwszym widzeniem jej na obiedzie u księżny, nie sprawiła na mnie tego wrażenia, pod jakim teraz zostaje.—Ale bo z panienkami to jak z poezją lub z muzyką!—Niekiedy jakaś sztuczka nie podoba ci się od razu, a potem, jak się wpatrzysz lub wsłuchasz, ani spostrzeżesz jak wpadnie do serca. Przyczem i sama nieraz toaleta odgrywa rolę deklamacyi lub egzekucyi muzycznej.—Dość, że dziś pannę Luizę mógłbym porównać do najwdzięczniejszej piosenki Beranżera, śpiewanej z całą żywością i naiwną wesołością francuzką. Obok panny Anastazyi, jest ona jak Amorek przy Muzie; i jak gdzieś widziałem w obrazie, że Amorek u stóp Muzy rysuje, tak ona wykonywa na nas pomysły panny Anastazyi, układając i fastrygując draperye, albo komenderując jak kto ma stanąć, poruszyć się, czy klęknąć—co zresztą i bez komendy często przed nią wykonywamy sami: t. j. młody książę Wołkoński, Szewirew, i ja.—Ale byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym ci przy tym opisie nie wspomniał nic o najlepszej

98

pani Własow. Jest ona westyarką naszą, to jest, wyciąga z szaf, szuflad i pudeł rozmaite man-tylle, pióra, festony, a niekiedy i kapelusze, które nam służą za królewskie płaszcze lub za kryzy i hełmy rycerskie. Ale że jak zawsze i wszędzie, najogólniejszym objawem niewdzięczności ludzkiej, jest lekceważenie dobroci, która się gniewać i mścić nie umie; tak i tu, sama gorliwość, z jaką ona chce usłużyć każdemu, wystawia często na próbę jej niewyczerpaną łagodność; bo się wszyscy albo kapryszą, lub się jej przekomarzają umyślnie. Ja jeden stanowią wyjątek. Ztąd też po każdym prawie widowisku, szerzy skargi przed siostrą i przed publicznością na wszystkich, i mnie tylko jednemu oddaje pochwały; co znowu z drugiej strony ściągają na nią nowe przesładowania i żarty, za które się także nie gniewa, i dobrodusznie śmieje się z nich sama.

Chciałbym, żebyś z tego opisu powziąć mógł mniej więcej wyobrażenie o tych prawdziwie poetycznych, niedzielnych naszych wieczorach u księżny, które, oprócz tychszarad, urozmaica jeszcze muzyka i śpiewy, wykonywane zwykle przez księżnę i przez pana Ricci—nad którego nie ma śpiewaka!—Dla Adama jest to największy powab tych wieczorów; bo co nasze szarady, to mają w nim nie tylko ciągłego recenzenta, ale nawet prawdziwego Zoila; przy- czem ja zwykle służę muszę za pierwszy cel pocisków, dla rykoszetu ich na panienki, które z nim o to się kłóca. — To też gdy powstał projekt przemiany szarad na teatr, a moje współarty- stki zmuszały mnie przyjąć w nim udział: ja nie tylko przez niepewność talentu, a pewność pronuncyacji litewskiej, ale i przez obawę sarkazmów Adama, broniełem się dopóki mogłem. Ale gdy wreszcie panna Anastazyja wybrała mnie na swego *milego* na scenie, i ofiarowała się sama pronuncyacją jakoś podstroić, a instancyo- nowany przez nią Adam— chociaż umyśl rękę jak Piłat—lecz przecież wyraźnego *veto* nie po- łożył: ujrzałem się zmuszonym zrobić ofiarę z mo- jej miłości własnej, dla uciechy towarzystwa w którym sam tyle przyjemności znajduję. Tak więc tedy w dzień 3 tutejszego Lutego, (22 Stycznia u was) w niedzielę, mam debiutować w komedyjce, p. t. „*J'ai fait mes farces*,” i bodaj że ten mój *debiut* będzie *une farce de plus*. Ale mniejsza o to! Tyle już sam pod tym względem nagadałem złego o sobie, że nikt drugi nie gorszego nie powie. — A tymczasem lekye pronuncyacji przechodzą mi bardzo przyje- mnie. Adam zaś, przez wzgląd na siebie, to jest, żeby się za mnie nie wstydzić—musztruje deklamację i pozy, gdy głośno przed zwier- ciadłem rolę moją powtarzam.

Ale teraz jeszcze o jednym balu—który zasłu- guje na wzmiankę z powodu komicznych i tra- gicznego wypadku, które się na nim zdarzyły. Był to bal u sławnego tutejszego bankiera księcia Torlonia, który jest księciem dla tego, że kupił od książąt Odescalchi, za 10 milionów franków, dobra i zamek *Bratiano*, do których tytuł książęcy jest przywiązany¹⁾. Jest to zatem najwyższy model, (nie profanuję wyrazu *ideal*), i zarazem niejako symbol wzrostu arystokracji pieniężnej, a poniżenia i upadku rodowej. Bo sam Rotszylld jest tylko dotąd *baronem*; a zaś ta mitra książęca spadła na głowę bankiera dla

tęgo, że już w rodzinie dawnych jej posiadaczy nie było widać komu i na czem jej nosić.—Kła- niają się więc teraz przed mitrą, którą można kupić za pieniądze! Chcesz w niej uczcić pa- miątkę dawnych zasług i chwały, a nie wiesz, że się kłaniasz *cielcowi złotemu!*—I niechby u nas wolno było podobnie tytułami i mająt- kami frymarczyć! to kto wie, czyby połowa dy- plomatów hrabiowskich, na wagę złota niegdyś kupowanych od Niemców, nie przeszła może w końcu do naszych lichwiarzy, lub arendarzy gorzelni i karczem, aby tam figurować obok *dziesięciora!* Bał wszakże był prawdziwie książęcy.

„Bo że nie tylko sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni,” —
Więc się na bale bankiera Torlonii,
Zbiera tłum Duków, Grafów, i bogaczy.

Mimo to jednak, są to bale demokratyczniej- sze od innych: bo każdy cudzoziemiec, mający weksel czy kredytywę do bankiera, jest już *de jure*, jeśli zechce, gościem na balu u księcia, z cze- go najwięcej korzystają Anglicy. Myśmy byli za biletami, które nam dał książę Gagaryn; a że przyjechaliśmy sami i nie mieliśmy nikogo, coby nas gospodarzowi przedstawił; więc się jakoś i bez tego obeszło.—Błąkaliśmy się zatem jak w lesie wśród tysiąca nieznanym osobom, krążąc ciągle około wejścia, aby spotkać zaraz na wstępie nasze panie z *Via Mercede*, o których wiedzieliśmy że będą. Jakoż zabłądziły nam wkrótce jak dwie gwiazdki na tle błękitu, któ- rym obie były owiane. Odtąd już nie odstąpi- liśmy od nich. Panna Henryeta dla zdrowia, a panna Marcellina z pobożności, jak sądzę, nie mogą i nie lubią tańcować. Płasaliśmy więc sobie we dwie pary myślami tylko i sercem: ja z pan- ną Marcelliną taktem poloneza, a pierwsza pa- ra bodaj czy nie walca, który głowy tancerzom zawraca.—Otóż komicznym wypadkiem na tym balu było: że się Anglicy pobili formalnie, tłó- cząc się do sali wieczery, gdzie były stoły na kilkaset osób, i że niektóre Angielki, bez żadnej ceremonii, całe talerzyki cukierków zgarniały do ogromnych worków, które widać umyślnie na ten cel przyniosły, i wydierały sobie wzajem ów łup pożądany. To samo mówi już dosyć, z jakiego piętra hierarchii towarzyskiej musiały być te damy; i powiadano, że sam gospodarz domu był tem wielce zgorzony i zawstydzony.—A ujrze- liśmy też na tym balu naszego znajomego boha- tera z podróży, p. Izaaka *Mocatta*, który wszak- że nie musiał być rad z tego spotkania; bo gdy poznawszy przywitałem go pierwszy: on mi za- ledwo odpowiedział słów parę, i zaraz zniknął gdzieś w tłumie. Tragiczny zaś wypadek był taki. Znany i szanowany powszechnie prałat, Monsig. *Testa*, przybywszy na bal w najlepszym zdrowiu i humorze, zasnął nagle przed samą wieczera, i za ledwo wyprowadzony do sypialnych poko- jów księstwa, tamże zaraz żyć przestał. Tajno- no to, ma się rozumieć, przed gośćmi; i kiedy przyjaciele i krewni zmarłego płakali lub mo- dlili się nad nim: tuż obok muzyka brzmiała w najlepsze, i taniec szedł coraz raźniej, ożywo- ny nadzieją wieczery. Powoli jednak wieść o tem zaczęła się rozbiegać po sali, a ten i ów, co ją po- słyszał, wątpię aby nie stracił nieco apetytu, albo ochoty do tańca. Bal jednak trwał aż do dnia; ale co nas, to zaraz po wieczery, państwo An- kwiczowie zabrali i łaskawie odwieźli do domu.

Aleś ty pewnie ciekawszymi dalszych losów pary, o której możnaby powiedzieć z Walter-Skotem:

A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie.

Otóż nic jeszcze nowego do powiedzenia nie mam; a co kiedy być może—nie wiem. Najbli- si krewni nie mogliby być dla nas życzliwsi, jak się zdają być państwo Ankwiczowie. Hu- mor panny Henryety te czasy kwitnie i świeci różowo, jak jutrzienka dnia pogodnego. Czyż- by więc było jakie porozumienie między nią a rodzicami, a przynajmniej pewność tego z jej strony?—Złote pasmo tych moich marzeń i na- dziei, płacze mi tylko i miesza, zimna—nie po- wiem obojętność — ale jakby pewna surowość panny Marcelliny, z jaką ona widocznie na to wszystko spogląda. Bo o jej życzliwości dla ich obojga, nie wątpię; w rozum jej wierzę; i dla tego też właśnie boję się jej przewidzeń czy przeczuć. Jest to bowiem pod każdym względem i ze wszech miar niepospolita osoba. Adam nazywa ją *świętą*, i rzeczywiście jest w niej coś legendowego. Sam wyraz jej twarzy i po- stać są tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a możnaby je żywcem przenieść na obra- zek. Jest w tem jak gdyby odblask wewnętrzne- go stanu jej duszy, który też chyba tylko w ten sposób przez nią się samą objawia. Jak bowiem tysiące innych silą się okazać, tak ona właśnie usiłuje ukryć w rozmowie, jak pobożność tak i uczoność swoją—którą rzeczywiście posiada. Bo modlitwa i nauka—to całe jej życie. Wiem pod sekretem od samej pani Ankwiczowej, że ostatecznym jej celem jest zostać zakonnica, sio- strą miłosierdzia; ale że się chce pierwój uiszczyć z obowiązków względem społeczeństwa i kraju, przez wychowanie w nim za powrotem kilku młodych panienek: przeto ciągle się uczy i pra- cuje sama nad sobą.—Ale mój miły Boże! jak to ziarna enót w duszach ludzkich, w różnych kształtach wychodzą na jaw! Czyż to nie istna różnaitość kwiatów? Porównać ją np. z pan- ną Anastazyją. Co za kontrast! A przecież ani jedna, ani druga, nie na tem porównaniu nie stra- cą. Są to jak gdyby równo-cenne: brylant i per- ła. Co za różnica blasku i migotania na ze- wnątrz! a przecież wartość wewnętrzna też sa- ma.—Co zaś do mojej przyjaźni i stosunku z pan- ną Marcelliną, ten jest taki. Mam dla niej taki respekt, że kiedy mówię z nią samą, wstyd mi każdego pustego słowa; a tem mniej śmiem ją częstować liczmanami, które bez skrupułu gdzie indziej wydają za dobrą monetę. Że zaś tych prawdziwych dukatów jest we mnie, niestety, zbyt mało; poczuwszy się więc przez nią do braku, nieraz biorę ztąd pochop do nauki i pracy. Ale za toż przy ludziach, pozwalam sobie często jak student przy rodzicach, gdy osmielony ich obe- cnością, chce zlekka, tem lub owem, swemu pa- nu guwernerowi dokuczyć. Przekomarzam się więc jej umyślnie, i mam w tem zawsze pomoc samej pani domu; zkąd wnoszę, że i ona, gdy jest z nią sam na sam, musi podobnego nieco jak ja wpływu doznawać.—Niedawno z niemi tyl- ko dwiema jechałem do kościoła na nieszpór. Ja siedziałem, ma się rozumieć, na przedzie; i zaczęliśmy z samą panią przesładować naszą towarzyszkę, z powodu jej surowej powagi, któ- rą ja nazwałem *kardynalską*. Tu pani Ankwic- zowa przesiadła się nagle obok mnie na prze- dnie siedzenie, i panna Marcellina pozostała sama w głębi karety, tak jak zwykle jeżdżą kardyna- łowie, mając na przeciw siebie dwóch swoich assystentów. Odtąd wzięła początek nazwa

¹⁾ Ks. Livio Odescalchi, ożeniony z Zofią z hr. Branickich, zamek i dobra *Bratiano* odkupił w r. 1840.

kardynała, którą ja i pani hrabina tytułujemy zwykle pannę Marcellinę, ilekroć ją chcemy podrażnić.—Otóż przed kilku dniami ciotka ofiarowała jej sliczny nowy sztambuch, do którego ja miałem wstępny wiersz napisać. Właścicielka, w przeczuciu mojej przekory, prosiła bardzo poważnie i zastrzegła z góry, żeby w nim wzmianki o kardynalstwie nie było. Owocem tych zastrzeżeń jest właśnie wiersz, który ci chcę tutaj przepisać. To zaś co już napisałem, uważaj za przedmowę, abys właściwy sens jego zrozumiał—i bądź zdrow.

MÓJ KARDYNAŁ.

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otóż moja дума cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!—

Wiciecz kto jest mój Kardynał?—
Ni Watykan, ni Kwirynał,
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodził fioletem,
Nie opasał paluszem,
Nie uwieńczył kapeluszem.
Lecz Ten, który róży wdzięki,
Lecz Ten, który twarz jutrzeńki,
Lecz Ten, który w głębi fali
Umalował pierś koralu:
Tego dłoń w szkarłat odziała
Lica mego Kardynała.

Choć on dla ludu pocieszeń,
Błogosławieństw ni rozgrzeszeń
Nie rozdziela na wsze strony:
Kto go zna—błogosławiony!
Sam jego wzrok i uśmiechy
Wypędzają z myśli grzechy.
I choć na nóżce, święcony
Nie lśni trzewiczek czerwony,
W każdym wiernym żądza pała
Kłęknać u stóp Kardynała.

Mój Kardynał miejsc nie bierze
W Kapitułę, ni w Kamerze,
Ni wśród Watykańskich chorów
Nie śpiewa mszy, ni niesporów.
Kapitułę jego składa
Jasných Serafów gromada.
W ich on chórze nieustannie
Nócił hymny i hozanne,
Nim go Święty Ojciec świata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.

O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze—
W jakimkolwiek bądź honorze,
Byle niedaleko siebie—
Byłbym już jak gdyby w Niebie!

Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie;
Ja zaś wkrótce, jak snąc muszę,
Kuryerem w podróż ruszę:
Ale nim się przez komorę
Z pakim grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas czyscowej kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiej, w sam czas się spotkamy.

Wtenczas—choć tam tłok niezmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałym,
Tuż za moim Kardynałem.

Raj mię pewno nie ominie!—
O! widziałem ja w Sykstyńie,
Nikt tym wejścia nie zagroził,
Kto za Kardynałem wchodził.—

Ztąd więc moja дума cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!

SILVA RERUM.

W porze świątecznej i karnawałowej, jak zwykle, pełno bywa krzątania i biegania, ale faktów wybitniejszych, zasługujących na szczególne zwrócenie uwagi, zdarza się bardzo niewiele. W takiej posusze, nasi współbracia po piórze historyografa przemijającej obecności, ratują się opisywaniem po raz setny i tysięczny pięknego obyczajów łamania się opłatkami, mniej pięknego wznoszenia sylwestrowskich wiwatów, jeszcze mniej pięknego noszenia każdemu powinszowań noworocznych, a już najmniej pięknego spędzania dni i nocy na rozpamiętywaniu dzieł sztuki Penkali i Włodkowskiego. My choćby dla oryginalności, tym razem nie pójdziemy za innymi, lecz wprowadzimy czytelników na chwilę w świat arcygłębokiej, a wiecznie młodej starożytności. Tylko się nie uprzedzajcie i nie lękajcie zawczasu;—nie będziemy z wami rozprawiali ani o grammatyce greckiej, ani o starożytnościach klasycznych. Chcemy, nie wdając się w wywody krytyczne, rzec słówko o *Odyssei* Homera, „najstarożytniejszym romansie przygód na lądzie i na morzu,“ słówko o nowem jej przez pana Siemieńskiego tłumaczeniu. Upewniamy was, że oboje ze wszech miar zasługują na zwrócenie uwagi nawet zaprzątniętej karnawałem.

Wszak słyszeliście o Penelopie, owój pani cudnego oblicza, która nie karmiona bynajmniej „przesadami“ chrześcijańskimi, a jednak „niepozytywnie“ dochowując wiary małżeńskiej błakającemu się po świecie *Odyssejowi*, co noc próbła tkaninę w dzień zrobioną, by tym sposobem odwrócić natarczywość zalotników domagających się jej ręki? Otóż *Odysseja*, od której was odstraszały dawniejsze tłumaczenia, a może i nazwisko „epopei,“ jest jakby nasza powieść współczesna, dziejami serca tej enotliwej niewiasty i dziejami serca jej męża. Powieść wprawdzie rozwija się tu na tle innych stosunków życia domowego i publicznego, tak mniej więcej przed trzema tysiącami lat lub więcej; lecz ludzie zawsze byli ludźmi pod względem działań rozumu i wzruszeń serca, a różnica obyczajów i zwyczajów świata starożytnego od naszego, podnosi tylko oryginalność opowiadania. Potrzeba było jedynie, ażeby mistrz prawdziwy, umiejący wydobyć tę powieść ludzką z obsłonek srodze przestarzałej choć wielce miłej starożytności greckiej, podjął się niezbędnego pośrednictwa w porozumieniu między światem *Odysseja* i Penelopy a nami. Taki mistrz znalazł się między nami w niezrównanym tłumaczu *Rękopismu Króloworskiego* p. Lucyanie Siemieńskim. Dwadzieścia lat pono pracy kosztował go ten przekład, albo raczej staranie się o to, by „docierać do tekstu o ile się da najbliżej, a nie oddalać się od swobody oryginalnej kompozycji,“ by dopiąć tego, że tłumaczenie „będzie czytane.“ Dwadzieścia lat pracy w naszych czasach przedzalni parowych, ko-

lei żelaznych i telegrafów elektrycznych — to doprawdy nie żarty! Ale też tłumacz postawił na swoim. *Odysseja* w przekładzie Siemieńskiego będzie czytana jak *Pan Tadeusz*, do którego niepomalu się zbliżyła właściwym tokiem opowiadania.

W piśmiennictwie polskiem były przed pracą Siemieńskiego trzy całkowite przekłady *Odyssei*, wszystkie dokonane dopiero w wieku bieżącym. Najdawniejszym co do czasu jest ogłoszony w r. 1815 w Krakowie przekład wierszowany wysoce zasłużonego, niesprawiedliwie sponiewieranego szyderstwem Jacka Idziego Przybylskiego, biegłego znawcy greczyzny i dzielnie władającego językiem polskim, choć może za nadto nie przebiegającego w wyrazach. Drugim z kolei jest ogłoszone w roku 1846 w Wilnie tłumaczenie prozą przez Klemensa Żukowskiego, dosłowne, niewolnicze, mające na względzie nie dzieło sztuki, ale naukę języka greckiego. Trzecim i ostatnim przed Siemieńskim jest wierszowany przekład Antoniego Bronikowskiego, ogłoszony w Ostrowie w r. 1867, mający środkować między kwękającym przekładem dosłownym a swobodnym przelaniem artystycznym, daleki jednak od prawdziwego artyzmu. Żeby czytelnicy sami mogli ocenić różnicę między temi przekładami, a zarazem młodość wiekuistą Homera i wielką zasługę Siemieńskiego w przyswojeniu literaturze polskiej niespożytego pomnika starożytności, stawiamy tu obok siebie jeden ustęp we wszystkich tłumaczeniach, nie koleją wyjścia ich na świat, lecz koleją zbliżania się do ideału artystycznego. W ustępie tym z pieśni pierwszej mówi się o chwili, kiedy syn *Odysseja* i Penelopy Telemach, po rozmowie z przeobrażoną boginią Minerwą, zbliża się do hordy nadskakujących jego matce

Klemens Żukowski, uganijając się za dosłownością, tak ten ustęp tłumaczy:

„Zaraz do zalotników poszedł równy bogom mąż. Tym zaś śpiewak sławny śpiewał, i oni w milczeniu siedzieli słuchający. Ten im Achajów powrót opiewał smutny, który im z Troi sprawiła Pallas Minerwa. Tego pieśń bożką z wyższych pokojów w duszę przyjęła córka Ikarego rozumna Penelopa; po wysokich schodach zeszła ze swego pokoju, nie sama, razem z nią i służące dwie poszły. Ta kiedy do zalotników przyszła, bożka kobieta, stanęła przy drzwiach, izby gruntownie zrobionej, przed obliczem trzymając cienką zasłonę; służące zaś uważnie po obu stronach przy niej stały. Rozplakawszy się potem mówiła do bożkiego śpiewaka:—Femil wiele także innych pieśni ludzi czarujących umiesz, o dziełach ludzi i bogów, których wstawiają śpiewacy. Z tych jedną im śpiewaj przy nich siedzący. Oni zaś w milczeniu niech wino piją. Tę zostaw pieśń smutną, która mnie zawsze w piersiach miłe serce rozdziera, ponieważ mnie najbardziej dotknęła żalność niezapomniana. Po takiej bowiem głowie tęsknię, pamiętając zawsze na męża, którego sława szeroka w Helladzie i pośród Argu.—Do tej zaś Telemach roztropny powiedział:—Matko moja! czemu nie pozwalasz miłemu śpiewakowi bawić się gdzie go myśl pobudza? Nie śpiewacy winni, ale gdzieś Jowisz winien, który to daje mężom zdolnym, jak chce każdemu. Temu nie można mieć za złe, że Danajów nieszczęsny los opiewa. Tę bowiem pieśń bardziej chwałą ludzkie, która dla słuchających najnowszą jest. Tobie zaś niech ma odwagę serce i umysł posłuchać: nie sam bowiem *Odyssej* stracił dzień powrotu w Troi, wiele i innych mężów zginęło. Lecz do pokoju idąca o swoich robotach miej staranie, o tkaniu i przedzeniu, i służącym rozkaż wziąć się do roboty; rozmowa zaś mężczyznom będzie zajęciem, a najbardziej mojem: tego bowiem władza jest w domu.”

Z tego kawałka nietrudno wywnioskować, że niewielu znalazło się wytrwałych czytelników, którzy przekład Żukowskiego od począt-

ku do końca przebrnęli. Niewiele więcej mógł mieć względów i przekład Bronikowskiego, dokonany w sposób następujący:

„Wraz więc poszedł do gachów bogom równy mołojec. Tym zaś pieśniarz przesłny nócil, a oni w milczeniu Siedząc jego słuchali, nócil wždy powrót Achaeów Smutny z pod Troi, co na nich zślała Pallada Athene. Jego z górnej komnaty posłyszala pieśń bozka Córa Ikariosa, mądra Penelopeja. Więc po schodach wysokich zejdzie niebawem do sali, Wszak nie sama, bo dwoje szło po za nią służebnic. Lecz gdy wśród zalotników bozka przybyła niewiasta, Zatrzymała się w oddrzwiach mocno spajanej świetlicy, Poprzed licmi trzymając jasno nadobne zasłony, A po każdej jej stronie skrętna stanęła służebna. Zatem lzy wylewając rzeczce do piewcy bozkiego: —Femi! wiele też innych znasz ty wždy ulud śmier- telnych,

Dziela mężów i bógów które wslawiają pieśniarza, Taką pieśnię wespół nich siedząc zaśpiewaj, a oni Wino niech piją w milczeniu, lecz tej żalosej za- niechaj

Dumy, która mi zawsze serce wytrawia ot w piersi. Kiedyś mnie przed innemi smutek owładał niezmożon: Takiej głowy ja bowiem woiąc utęskniona požadam. Lecz jej na to roztrozny rzeczce Telemach na odwrot: —Matko moja...” i. t. d.

Początek i koniec tego przemówienia Telemacha do matki, pierwszy malujący niezmiernie głębokie zapatrywanie się na twórczość poetycką, powtórzony u Getego w znanej balladzie: „Ja śpiewam jak słowik śpiewa,” drugi wysoce charakterystyczny pod względem prostoty obyczajów współczesnych autorowi *Odysei*, Bronikowski idąc za Bekkerem, opuścił jako niby wstawki rapsodów.

Przybyłski tak ten sam kawałek tłómaczy:

„Idzie bozki Uliszczyc między gachów grono, Tu w środku sławny śpiewak nócil pieśń uczoną. Ci słuchają z milczeniem siedzący dokoła. Tak ich ciekawy przedmiot na czas ściszyć zdoła! Femi śpiewa o ciężkim Achiwów powrocie, Gdy Pallas wojsk z pod Troi rozpuściła krocie. Wnet była ta pieśń cudna posłyszana z góry Od mądrej Penelopy Ikarego córny. Schodzi z piętra po wschodach smutna gospodyni, Nie sama, bo dwie panny służące szły przy niej. Doszła gdzie zalotnicy śpiewaka słuchali, I nie wchodząc stanęła przed progami sali. Ona twarz cienką siatką przysłoniła sobie, A z dwóch stron skromnie stały służebnice obie. Królowa z płaczem rzeczce słowy ulotnemi: —Czy tylko jedną umiesz piosneckę, mój Femi? Dziela bogów i ludzi pieją drudzy mile. Tyle jest innych pieśni! sam ich umiesz tyle! Śpiewaj im inszą jaką, a nie tę jedyną, Ci niech siedząc w milczeniu popijają wino. Chciej zaprzestać tej przykrej, co się teraz nócil, Bo ona brzmiać mi w uszach, zawsze serce smuci. Plekroć ty zaczynasz, mój żal się natęży: Tęsknię po lubej głowie straconego męża. Wraz mi się cny bohater na pamięć nawinie, Którego cześć w Helladzie i wśród Argów słynie. — Tu roztrozny Telemach tak rzeczce do matki: — Za cóż cię, matko moja! nudzi śpiew tak gładki? Czemu nie chcesz, by śpiewak takie nócil pienia, Jakie mu na myśl przyjdą z bozkiego natchnienia? Jeśli pieśń nie do smaku, nie jest wieszczą winą, Lecz niejako sam Jowisz jest skutków przyczyną. Bo on uczonych mężów napusza w koleje, I jak mu się podoba, tak dowiecpi grzeje. Femi śpiewa niewinnie zle Danajców losy; A dziś są za tą pieśnią powszechniejsze głosy, Dla słuchaczy najświeższą jest piosnecka taka. Więc ty cierpliwie słuchaj i nie laj śpiewaka. Nie sam Uliss pod Troją dzień powrotu traci, Legło tam wielu inszych bohaterów braci. Wróc do twoich pokójów i bądź tam robotną, Daj bacność wśród służebnic na kądziel i płótno. Śpiewy ułożą mężę, zwłaszcza ja ułożę, Bo przy mnie rząd zostaje na Ulissa dworze.—“

Nakoniec oto jak ten cudny kawałek przekłada Siemiński:

„Teraz bozkie pacholę do gachów wróciło, Gdzie śpiewał sławny gęszarz; w izbie cicho było; Słuchali— a on śpiewał powrót oplakany Z pod Troi od Ateny na Greków zesłany. Kiedy w górne komnaty doszedł śpiew ponury Do uszu Penelopy, Ikariosa córny, Śpiesznie zbiegła po schodach na dolne pokoje, Wždy nie sama, przy sobie miała panien dwoje, I gachom zjawiła się postać enej matrony, Stojąca w progu izby wysoko sklepionej. Na lica zapuściła z głów namiotkę cienką Z lewej i prawej miała służebną panienkę, I do bozkiego piewcy rzekła płacząc rzewnie: —Femi! ty innych pieśni więcej umiesz pewnie, Co ludzi, bogów sławia, a u piewców słyną. Więc jedną z takich zabrzmi; a oni niech wino Piją milcząc. Tej nie chcę pieśni tylko jednej, Taką boleścią serce przenika mnie biednej, Już i tak udręczony tym płaczem ustawnym Po małżonku w Helladzie i na Argu sławnym.— Telemach odrzekł na to:— Matko ukochana! Za cożes na milego pieśniarza zdąsana? Czy, że śpiewa jak czuje? Nie on winien temu, Raczej Zewsa obwiniaj, że daje każdemu Mistrzowi takie tylko jak sam chce natchnienia. Nie wiń go, że nam śpiewa Greków utrapienia: Azaliż nie tej pieśni słuchamy najchętniej, Co czemciś nowem w sercu słuchacza odtęni? Raczej ty się do pieśni nastroj w duszy swojej. Przecież nie sam to Odyssej wrócił z pod Troi; Tylu innych herojów przepadło bez wieści. Lepiej wróc do się, pilnuj roboty niewieściej, Wrzeciona i krosienek; naganiaj, by żwawo Dziewczęta pracowały. Rozkaz, mężów sprawą, A i moją. Jam przecież pan tutaj we dworze.— I cofnęła się matka w zdumionej pokorze, Mądrą synowską mowę rozważając w sobie. A wszedłszy do swych komnat, da folgę żalobie, Pamięć męża rzewnemi oblewając łzami, Póki Pallas jej powiek nie potrzęsła snami. W ciemnej izbie znów wrzawę wszczęli zalotnicy” itd.

Nie prawdaż? jakie to ludzkie, jakie tkliwe, jakie proste, jakie głębokie, a jak mistrzowsko wypowiedziane! Taki jest cały przekład pięciu dotychczas ogłoszonych zeszytów, obejmujących ośm pieśni całych i początek dziewiętej z dwudziestu czterech ogólnej całości. Zarzucano Siemińskiemu, że za mało się rozpiął w przedmowie nad dociekaniem czy dzieła przypisywane Homerowi są płodem jednego człowieka czy też wielu pieśniarzy; zarzucano szczególnie, że nie zwrócił uwagi na Kirehhoffa, któremu się wydało, że *Odyseję* zlepiono z dwóch odrębnych utworów. Co do nas, sądzymy, że p. Siemiński bardzo dobrze uczynił, krótko a węzłowato oświadczając się za zdaniem, że *Iliada* może być dziełem jednego, a *Odyseja* drugiego poety, lecz ani jedna ani druga nie jest robotą składkową. W składkowy sposób robią się tylko wodewile francuzkie i broszurki „do zapalania fajek”. Podobnie nie mają słuszności zarzuty ani o naciąganie starożytnego utworu do wyobrażeń nowożytnych, ani wręcz przeciwnie o zbyt częste posługiwanie się archaizmami; tych ostatnich tłómacz używa z wielkiem umiarkowaniem, jedynie dla nadania dziełu właściwego kolorytu starożytności. Słuszniejby może zarzucić przyszło niektóre prowincjonalizmy, spotykające się w innych utworach poetyckich Siemińskiego; wyznać jednak potrzeba, że takie prowincjonalizmy jak *namiotka*, *prażnik*, nierównie lepiej rzecz malują niżeli *zasłona* lub *jarmark*.

Strona zewnętrzna wydania jest nader okazała; papier i druk przesliczny.

P. August Jeske wydaje od roku zeszłego nakładem Stanisława Arcta księgarza w Lublinie, szereg książeczek elementarnych, objętych

ogólnym tytułem: *Systematyczny kurs nauk przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowym dla dzieci od lat 3 do 15*. Rozległe swe założenie szanowny autor zamknął w trzech peryodach: przed-elementarnym, elementarnym niższym i elementarnym wyższym. Pierwszy ma zawrzeć siedm, drugi dziewięć, trzeci zaś trzynaście książeczek, obejmujących do stu więcej stronic. Z tych dziełek do pierwszego peryodu należących ukazało się dwa: *Równianka*, czyli zbiór powiastek, i część pierwsza *Nauki o rzeczach* (metody pogładowej), obejmująca najbliższy światek dziecka. Z należących do peryodu elementarnego niższego wyszły już następne prace: *Nauka czytania*, *Mała Stylistyka* stopień 1-szy, *Mała Grammatyka języka polskiego*, *Arytmetyka* kurs wstępny, *Geografia* kurs pierwszy; pozostały jeszcze do ogłoszenia tylko *Wypisy* w dwóch częściach i *Małej Stylistyki* część druga. Z peryodu elementarnego wyższego, mającego objąć arytmetykę, geometryę, geografję, historję naturalną z atlasem kolorowanym, fizykę z chemią, historję powszechną, grammatykę, stylistykę i literaturę polską, grammatykę języka rossyjskiego, niemieckiego i francuzkiego, oraz pierwsze początki łaciny, nie jeszcze nie ogłoszono. W związku z tém wydawnictwem są wydane przez p. Arcta dwa dzieła następujące innych autorów: *Pismo Święte objaśnione i ofiarowane matkom i dzieciom* przez Klementynę z Tańskich Hoffmanową, tudzież *Dzieje Starego i Nowego Testamentu* przez Kazimierza Brodzińskiego, powiększone przez ks. K. Grabowskiego.

Niepodobna nam się zapuszczać na tém miejscu w rozbiór szczegółowy tyłu książek, traktujących o tylu różnorodnych przedmiotach, związanych jedną przewodnią myślą rozwijania młodocianych umysłów. Mamy zamiar dać pod właściwą rubryką obszerniejsze tego zbioru ocenienie; tu donosimy tylko troskliwym rodzicom, że przybył dla nich zacny, sumienny i zgruntu swój przedmiot znający doradca, a przyjaciel od serca. Drobne tu lub owdzie usterki zbioru (np. połączenie w Grammatyce słów niedokonanych z dokonanymi w jednej formie na wzór niemiecki lub francuzki), usterki łatwe zresztą do postrzeżenia i poprawienia, nie robią ujemy pięknej całości, której, co nie jest rzeczą małej wagi, bezpiecznie zaufać można. P. Jeske znany dawniej jako teorytyk estetyczny i pedagogiczny, wystąpił od razu w pełnej zbroi pedagoga praktycznego i zdobył niepospolite stanowisko na polu dotychczas mało przebieganem przez naszych pisarzy. Winszujemy mu i cieszymy się jego powodzeniem.

Wydawnictwo *Skarbczyka powieści*, które prowadzi w znacznej części i sam opracowuje p. Józef Grajner, dosięgło już szóstego tomiku, czyli połowy zamierzonej seryi, mającej się składać z 12-tu zeszytów, za 3 ruble. Tomik ostatni obejmuje część pierwszą przekładu z francuzkiego *Podróży na około świata w osmdziesięciu dniach* odbytej.

Autorem tej książki jest znany publiczności polskiej z wielu przekładów Juliusz Verne, jak wiadomo, pseudonim naszego rodaka, a nawet Warszawianina rodem, ale wychowanego we Francji i władającego językiem tego kraju lepiej niż własnym. Jakkolwiek takim zbieganiem okoliczności, prace jego nierównie szerzej się rozchodzą i czytają na obu półkulach swia-

ta, niepodobna nam nie pożałować, iż dzieła naszego rodaka nie piszą się raczej po polsku i nie tłumaczą na język francuzki. Dwa są tego żalu powody: wysoka zdolność popularyzatorska piszącego, która najniezawodniej musiałaby przyczynić nam sławy za granicą, oraz nie zawsze wzorowe tłumaczenie prac jego na język macierzysty. P. Verne tak szczęśliwie umie łączyć wybujałe sny fantazyi z niezliczonymi wiadomościami naukowymi, szczególniejszemi geograficznymi i etnograficznymi, że śmiało powiedzieć można, nikt mu w tym względzie nie dorównał. Prace też jego, najczęściej ogłaszane w czasopismach francuzkich dla dorastającej młodzieży, cieszą się najlaskawszymi względami młodych czytelników, co bynajmniej nie przeszkadza być im zajmującymi i dla starszych.

Podróż na około świata, którą w tej chwili mamy przed sobą, posiada te same zalety co inne dzieła tego pisarza, i to najlepsze, jak *Hatteras* lub *Podróż na księżyc*, obie niegdyś drukowane w „Gazecie Polskiej”. Lecz i tę książkę spotkało to samo co parę innych w przekładzie polskim: pośpiech widoczny, a ztąd nierzadkie błędy tłumaczenia. Zdarzają się tu i owdzie nieszczęśliwe stronicy, na których po kilka usterek napotkać można; tak np. na str. 8 czytamy: „rozpowszechnić moje talenta”, co znaczy uczyć gimnastyki; „brałem udział w znakomitych pożarach”, to jest w ich gaszeniu nie zaś podpalaniu, jakby zdawać się mogło; „od pięciu lat opuściła Francję”, mówi się przed pięciu laty; „mam dobre o tobie poświadczenia”, a powinno być: świadectwa.

Wystrzeżenie się takiej obrazy języka rodzinnego w dziełkach popularnych zdaje nam się o wiele ważniejsze niżeli w dziełach naukowych, które czytają ludzie kształceni na prawidłach grammatycznych, zatem niełatwo dający się omamić błędom drukowanym. Dla tego uważamy za powinność zwrócić na to uwagę wydawnictwa *Skarbczyka*.

W *Niwie* p. Orzeszkowa podnosi głos rozpaczliwy w obronie XIX wieku. Myślałby kto naprawdę, że kwilenie kilku poetów ostateczną zagładą biednemu temu wiekowi zagraża. Miłowoli też przyszło nam na myśl, że *Niwa* mogłaby z korzyścią schować dla siebie nauczkę o wiatrakach, którą częstuje swoich przeciwników. P. Orzeszkowa wznosząc hymn pochwalny na cześć XIX wieku, wylicza szereg imion mających przedstawiać w sposób widomy wielkość jego, to jest: „wielkie serca i charaktery, które wielką miłością pałają, ku wielkim celom dążą, wielkie dzieła i ofiary spełniają.” Tu ze zdumieniem spotykamy obok Livingstona i Szajnochy nazwiska Rozy Bonheur i Georges Sand. Miałażby Roza Bonheur stać na czele malarstwa XIX wieku? Jeżeli zaś nazwisko jej po to tylko tu umieszczono, ażeby powiększyć poczet wielkości niewieścich, to już chyba wraz z Kuryerem Świątecznym upomniemy się o równouprawnienie mężczyzn. Co do pani Sand, nie zaprzeczamy tej autorce znakomitego talentu, ale trudno zdaje się, przyznać jej jakieś dobroczynne cele, trudniej jeszcze uwierzyć, ażeby żywot swój spędziła „w wierze, ofierze, cnocie i t. d.” Wielbiąc miłosierdzie społeczne, p. Orzeszkowa nas upewnia, że Wincenty Paulo, chociaż miał dobre chęci, nic a nie

pod tym względem nie uczynił. Zapomniała tylko wspomnieć, że Wincenty à Paulo dał nam Siostry Miłosierdzia, których jakoś ci dobroczyńcy „w zwyczajnych szatach” nie potrafili dotąd zastąpić. My nie należymy wcale do tych pesymistów, potępiających bezwzględnie wiek XIX, daruje nam jednak p. Orzeszkowa, że i na tem słońcu znajdziemy plamy. Choćby tylko to jedno, że oto w tym postępowym wieku XIX widzimy niewiastę polską, niewiastę chrześcijańską, która powtarzając słowa Zbawiciela, snadź w dzieciństwie wyuczone, nie śmie go nazwać po imieniu, i stosując się zapewne do zasad pisma, w którym występuje, z dziwnym zaprawdę cynizmem wyszukuje miano „wielkiego założyciela chrześcijanizmu!” Ale i stary testament nie z większym szacunkiem jest przez p. Orzeszkową traktowany. Widocznie przy wyższych studiach naukowych wietrzyła jej z głowy elementarne nawet wiadomości z historii biblijnej, bo cytując wiersz p. L. Sowińskiego do poezyi: „a wzrok twój (poezyo) ściga pochod Mojżeszowych słupów,” przyznaje się naiwnie, że znaczenia tych wyrazów nie rozumie; nie przypuszczając też, ażeby mógł zrozumieć kto inny, rozstrzyga śmiało tę kwestyę, upewniając, że „choć p. S. pięknie mówić umie, jednak o czymby mówić miał, sam nie wie.” Szkoda, że szanowna recenzentka nie udała się do jakiegokolwiek zaczątku uczącego się historii biblijnej, a byłaby się dowiedziała, że Mojżeszowe słupy wiodły na pustyni zbłąkany lud Boży, a więc są symbolem Opatrzności, która i dziś według wierzenia chrześcijan, sprowadza ludzkość, tak często zbłąkaną, na drogę wytkniętą jej przez Boga. Wolno też czasem poezyi, w sposób anti-pozytywny ścigać wzrokiem te drogi Opatrzności. Tym sposobem przekonałaby się pani Orzeszkowa, że chociaż sędzić śmiało umie, jednak o czymby sędzić miała — sama nie wie.

Z dniem 1-m Stycznia roku bieżącego *Gazeta Warszawska* rozpoczęła 101-szy rok istnienia. Z zamieszczonego w tém piśmie rzutu oka na przebyty okres stuletni widzimy, że starszym od niej w piśmiennictwie polskim był tylko *Kuryer Wileński*, który setną swą rocznicę obchodził przed kilkunastu laty. Gazet mających więcej nad 100 lat wieku jest dziś w Europie tylko 12, lecz i w tej liczbie znajduje się kilka urzędowych, nieubiegających się o względy czytelników. Objętość treści w dzisiejszej *Gazecie Warszawskiej*, w porównaniu z wydawnictwem ks. Łuski z r. 1774, jest o 27 $\frac{1}{2}$ razy większa. Pismo od lat 80-ciu zostaje w posiadaniu jednej rodziny Lesznowskich.

W nrze 1-m *Kroniki* z r. z. zdaliśmy nieco obszerniej sprawę z pracy p. Kawelina, ogłoszonej w języku rosyjskim p. t. *Zadania psychologii*. Z owego sprawozdania czytelnikom wiadomo, iż rezultatem długiego i sumiennego badania naukowego autora jest następujący wniosek: „że ciało i dusza stanowią organizmy samodzielne, posiadające działalność własną, połączone jednak z sobą w sposób bardzo ścisły i wywierające na siebie wpływ wzajemny.” To przypomnienie zasadniczej myśli dzieła usprawiedliwi zadowolenie, z jakim donosimy, że współpracownik naszego pisma p. Stanisław Chomętowski przystąpił do przełożenia pracy p. Ka-

welina na język polski. *Zadania psychologii* w niedalekiej przyszłości ukażą się na widok publiczny.

Zmarły niedawno Karol XV. król szwedzki był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, jako sam artysta malarz i muzyk. Zbiory sztuki gromadził w ulubionem miejscu swego pobytu, w zamku Ulryksdal pod Stockolmem. W czasie ostatniej bytności swej w Paryżu w r. 1872 polecił znanemu zakładowi artystycznemu *I. C. Billmark*, wykonanie albumu przedstawiającego wspomniany zamek i zbiory w nim zawarte. Dzieło to obecnie dopiero ukazało się w 17 ozdobnych tablicach pod tytułem *Chateau Royal d'Ulryksdal*. Cały nakład zakupił *H. Bukowski Antykwaryusz*, rodak nasz, mieszkający w *Stockolmie*, *Jacobstorg Nr. 3*, i poleca to dzieło miłośnikom sztuki. Egzemplarz kosztuje 10 talarów pruskich, a sprzedający ogłasza, że na listowne do niego zgłoszenie podejmuje się dopełnić przesyłki.

Pisaliśmy obszernie w swoim czasie o przekształceniu kassy emerytalnej urzędników kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, tudzież o projekcie utworzenia podobnejże kassy dla wyrobników pracujących w warsztatach rzeczonyj kolei. Tu więc możemy się ograniczyć na prostem doniesieniu, że ta piękna instytucja już weszła w działanie. Oby jej najlepiej się wiodło! i oby stała się przykładem!

Tutejsze Towarzystwo Farmaceutyczne otrzymało upoważnienie na wydawanie pisma miesięcznego p. t. *Wiadomości farmaceutyczne*. Program czasopisma obejmuje niemal cały zakres nauk przyrodzonych, co przy poważnym jego kierunku oddziaływać może nie tylko na postęp zaniedbanego u nas przyrodoznawstwa, lecz i na lepsze niż dzisiaj filozoficzne zapatrywanie się na przyrodę. Za długo się już zostawało pod wpływem dyllentantyzmu: czas się zabrać do pracy poważnie.

POWRÓT DO GNIAZDA.

POWIEŚĆ

z podań XVI wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Dwie izby na górze zajmował Wojewodziec, z widokiem na daleką okolicę, na lasy co ją opasywały, na mury miasta i na ogrody co się z nich dobywały. Choć w nich dosyć dawno zamieszkiwał, czuć było, że tu jeszcze stał tylko gospodą. W pierwszej stały tłumoczki studenckie i łóżeczko Józka i jego stolik z książkami i prosty sprzęt gospodarski, z kilku dzbanków i glinianych mis złożony. Tu więcej było nieco ładu, bo chłopak czuł się zań odpowiedzialnym i troskliwie go pilnował. Druga izba od ulicy znacznie obszerniejsza, należąca do Wojewodzica, stała studenckim nieładem. W kącie skórą łosią pokryte łóżeczko ze skórzaną poduszką, a przy niem puzderko mosiądzem kute, w którym droższe rzeczy i papiery chowano. Nad niem starym obyczajem, na którego zachowanie matce poprzysiągł Wo-

jewodzie, wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego i matki Bożkiej Częstochowskiej, palma i gromnica.

W pośrodku izby ogromny stół był chaosem ksiąg, których stos narzucony nieforemną górą stanowił. Widać było między nimi i folianty w drewnianych okładzinach i małe książki, jakie wówczas drukować poczynano, i świstki a luźne karty, których wychodziło mnóstwo. Zapisany papier, zrzynki z notatkami, podarte listki, walały się po brzegach stołu—a z między nich talerz pełen dojrzałych owoców jesieni, wyglądał dziwnie ze swą barwą świeżą i wesołą. Na siedzeniach i ławach nie miał znać czasu Józiak pobierać rozrzuconego odzienia, które Wojewodzie próbował i pogardził niem. Pasy, żupaniki, kurtki, kontusze i płaszcze, a obok nich parę szabel i czapek czekały, by je usłużna ręka sprzątnęła. Na innym stole para kubków i duży dzban malowany z pokrywą, lichtarze mosiężne, zapomniane też odpoczywały. Józiak dopiero się zabierał do zaprowadzenia porządku i krzątał, aby powrót pana uprzędzić, gdy Wojewodzie ukazał się w progu.

Zwykle zwiastowało się jego przyjscie śpiewką wesołą; dziś szedł smutny, zamysłony i milczący. Dopiero gdy drzwi otworzył, chłopak go poznał i tem spieszniej wziął się do składania porozrzuconych rzeczy. Stosunek pana do sługi był więcej przyjacielski niż służebny. Józiak był sierotą, ale szlachcicem, towarzyszem dawnym od szkół Wojewodzica, ukochanym jego pół-bratem, ale to mu nie przeszkadzało spełniać obojętnie wszystkiego co tylko umiał i podolał. Dawniej Janusz i on nie mieli przed sobą tajemnic i jedną żyli myślą a duchem. Od niejakiego czasu wiele się zmieniło: nie rozumieli się już jak dawniej; Józiak milczał, Wojewodzie żałował o to do niego, ale wiedząc, że go nie nawróci, szanował jego przekonania. Chłopakowi w ogóle niepodobało się nic w tych krajach, któremi pan jego był zachwycony. Zrazu się o to spierali. Józiak w końcu zmilczał; tęskniąc swą nosił, nie spowiadając się z niej Januszowi, który tylko z twarzy mu ją mógł wyczytać. Zaledwie na próg stąpił, Wojewodzie zawołał żywo:

— Józiak! sam tu! proszę.

Porzuciwszy suknię, którą trzymał w ręku, chłopak pospieszył i stanął nieco pomieszany, Janusz popatrzał nań.

— Słuchaj no, mów mi prawdę, dla czegoś się tak widocznie stropił, gdy cię o owych Polaków pytał, co się staremu przysnili?

Józiak, na którego pilno i teraz patrzył Wojewodzie, tym razem mocniej jeszcze zarumienił się i zmieszał. Ręce zaczął kręcić, zabelkotał coś, oczy spuścił, trudno mu kłamać było.

— Albo to ja... się zmieszał, proszę pana? odparł po chwili wahania.

— Przecież i teraz znowu widać, żeś nie swój? Na Boga!—począł Wojewodzie—czyż już do tego przyszło, że ty przedemną mieć będziesz tajemnicę i zmusisz do odgadywania?

— Jać przecie nic o żadnych przejezdnych nie wiem—tłumaczył się chłopak nieśmiało.

Wojewodzie brew namarszczył.

— Jakes mi druh! mów, jakes mi druh i wierny sługa a towarzyszu! Słowo?—zapytał.

— Słowo, że o tych przejezdnych, o których

Majster Hans powiadał, nie nie wiem... nie a nic.

— A cóż ci jest, żeś nie swój?

Chłopak popatrzał mu w oczy.

— Al! panie,—rzekł—czyż to od dzisiaj jam nie swój? a jak mam swój być, gdy nie między swymi? Czyż tu wśród tej niemieczyzny choć godzinę człowiek może mieć szczęśliwą? Ja się tu przecie duszę i zamęczam.

— Boś jeszcze dzieckiem—odparł Wojewodzie postępując powoli w głąb izby.—Czegoż ci tu brak? Przecież pilno sięstaram, byś wszystko miał czego ci tylko potrzeba. Żywność, napój, suknie, czas swobodny, książki, naukę masz przecie zawsze.

— Ale jakbym nie nie miał—odparł ośmielając się Józiak,—głodny jestem domu, spragniony kraju, czuję się tu jakby w niewoli u obcych. I jednemu się ino dziwię, iż wy, miły panie, tego nie czujecie co ja. Wam tu dobrze, wy nie tęsknicie?

— Kto wam to powiedział!—cicho szepnął Janusz—i ja mam chwile tęsknicy, lecz rozum każe tam stać, gdzie go nabyć mogę.

— Aby nie co gorszego, proszę pana—rzekł Józiak.—Widziałem ja Niemców, co proste sadło za bobrowe stroje sprzedawali, czemużby zwodzicielstwa za naukę nie mieli dawać?

— A no! a no! juźci ty swoje począł!—rozśmiał się Wojewodzie.—Mów, mów, kiedy ci z tem lepiej; nie będę się z tobą spierał, a swoje przy sobie zostawię.

— Wiem ci ja, że moje słowa na nic się nie przydały,—dokończył Józiak,—ale się rwąsame z piersi, że je powstrzymać trudno. Wszak milczę dnie całe, ale wyzwany, fałszu nie rzeknę.

— Jakże ty tego nie czujesz i nie widzisz, że rozumniejsi tu są od nas?—spytał Wojewodzie.

— Uczeńsi to prawda, czy rozumniejsi nie wiem—rzekł Józiak.—Może oni zresztą mają taki rozum jaki dla nich jest potrzebny; u nas, panie miły, inny rósł i innym ludzie żywią.

— Albo są dwa rozumy?—przerwał Wojewodzie śmiejąc się.

— To tylko pewno, że niemiecki inszy od naszego, bo to naród też od nas tak różny jak niebo od ziemi.

Wojewodzie westchnął.

— Przesady są—rzekł—wszędzie źli i dobrzy być muszą. Możeż być człowiek rozumniejszy a lepszy od Hennichen'a, a śliczniejszy anioł od jego córki?

Józiak zmilkł i głowę spuścił.

— A co wam potem?—spytał zmilczawszy dobrą chwilę.—Wyjdziemy ztąd, żyć z nimi nie będziemy, serca tu nie zostawimy przecie, boby grzech było.

Na te słowa Wojewodzie popatrzał towarzyszowi w oczy i zerwał się z siedzenia.

— Józiak! ty nie wiesz, nie wiesz jak ja ją kocham.

— A cóż z tego—mruknął chłopak—możecie nawet pomyśleć, abyście z niej uczynili synową pana Wojewody? Alboż się tam z tem odezwać nawet można, aby córka złotnika mogła wejść do takiego domu?? Wspomnij pan miły, matkę, przypomnij ojca, wszystko, działy i pradziady swe i imie, a obyczaj nasz domowy... Alboż to może być? albożście mogli zamarzyć o tem? A jeśli nie, po cóż szaleć da-

remnie i ludzi tych ludzi, choćby i Niemców?—dodał Józiak.

Janusz ręce spuścił, drgnął.—Cicho!—zawołał—cicho! ty nie nie czujesz! tyś szczęśliwy, bo nie znasz i nie wiesz co kochanie niewiasty...

— Bogdajbym go nigdy nie znał, jeśli bym dlań miał o swoich zapomnieć—odezwał się Józiak.

— O swoich?—podchwycił zaczynając się przechodzić Wojewodzie.—O swoich! ba o sobie samym... Nierozum jest, choroba, ale przeznaczenie, ale przesilna, ale niezwyrodniona jako śmierć; więc bolećbyś nademną powinien, a nie serce mi kaleczyć trwogą! Kiedyś kochałeś mnie jak brata... i byłeś dla mnie innym!!

Na ten wyrzut bolesny, Józkowi łzy potoczyły się z oczów i jak stał, tak z żalu i uczucia kląkł przed nim.

— Panie mój! czyżby mnie to nieszczęście spotkać miało, żebyś o mojem sercu zwątpił? Drogi panie! a możeż to być? a godziż się to, gdy dla was jam i życie, oto tej godziny, dać gotów.

Janusz zarzucił mu żywo ręce obie na szyję i pocałował w czoło.

— Józku, nie bierz tak słów moich, goryczą mi zapływa serce, nie winienem...

I padł na łóżko zakrywając oczy, bo się wstydił, że i z pod jego mężkich powiek łza pociekła. Ale w prędece porwał się i chodzić zaczął.

— Ja sam siebie nie poznaję, rzekł, do czego przyszedłem. Mógłbym się kiedy spodziewać, aby mnie myśl ta, że powrócić muszę do domu, do rodziców, przejmowała trwogą i dreszczem? żeby obcych żałował i tęsknił za nimi więcej niż za swymi? aby mnie tam nie ciągnęło nic, a tu trzymało wszystko?

Załamiał ręce.

— Nie strasznaż to rzecz, mówił, że powoływany wracać się wzdragam, że nie lecę tam gdzie powinien, a tubym żył i wiekował i o wszystkim—dla niej, zapomniał!

— Al! panie miły, panie drogi,—przerwał Józiak,—tem ci pilniej od tych czarów uciekać potrzeba, bo ci chyba napój jaki zadali; alboż nie mogli rozumu odjąć jaką sztuką szatańską? O Hennichenie mówią, że złoto robić umie, więc zna może i te kunszta szatańskie, co człowieka niewolnikiem czynią.

Uśmiechnął się smutnie Wojewodzie.

— Na cóż tu napój inny—rzekł—nad ten, co z jej oczów płynie? na co czary nad te, jakimi jest jej głos? na co więzy inne, gdy patrząc na nią przykutym się człowiek czuje?

— O mój Boże!—westchnął Józiak—a cóż pocniemy... a co z wami będzie? jeśli już tak wami owładła.

— Ona moją być musi—rzekł ponuro Janusz—ani ojciec, ani nikt mnie nie powstrzyma, porzucę wszystko, wyrzeknę się domu.

— Nie mów, panie miły, nie kończ—podbiegając zawołał chłopak—nie godzi się, bo to bluźnierstwo. Ani możecie uczynić co zapowiadacie. Wspomnijcie Wojewodę...

Janusz zamilkł, ręką powiódł po czole, oczyma po izbie ciemnej, jakby się przebudził.

— Dość już tego—odezwał się,—w bożych ręku ludzkie losy i serce człowieka.

Kończył te wyrazy, gdy do pierwszych drzwi gwałtownie pukać zaczęto. Znać pierwszych uderzeń nie słyszeli, zajęci rozmową—więc Jó-

ziak rzucił się ku wejściu i zawołał, że wejść wolno, a w tém otwarły się drzwi i ów towarzysz ryży z małą główką, który odprowadzał Wojewodzica pod dom, ukazał się w progu, prowadząc za sobą człowieka, który na kursora wyglądał.

Jakoż nim był w istocie.

— Cóż was sprowadza o tej porze?—zapytał podchodząc niespokojnie Wojewodzie, widząc że kursor z za sukni zawiniętego coś w płachtę dobywa.

— Przywiodłem wam onego kursora, który nie wiedział kędy szukać waszego mieszkania, a ma do was pilne pisma. Dziś rano spotkali go na drodze do Halli jacyś podróżni, a jechał właśnie z listy książęcimi od Kurfirsta do naszych panów. Byli to znać z waszej ziemi podróżni, bo rozpytawszy w gospodzie co zaczął był i dokąd jechał, a obaczywszy passy pod pieczęciami i świadectwa, że człek był stateczny, zapłacili mu, aby Wam papiery te oddał, których sami tu przynieść nie mogli.

Kursor w czasie tego opowiadania, głową mu potakiwał i rozwinięty płachtę dobył z niej plik związany sznurkiem jedwabnym i przypięty czerwonym woskiem. Wojewodzie pobladł zobaczywszy go, drżącą wyciągnął rękę i przy podanem świetle przeczytał nazwisko swoje, poznając rękę ojcowską.

Kursor na zapłatę czekał, choć ją był pewnie wziął zawczasu, ale mu się datek należał. Sięgnął więc do mieszka Wojewodzie, słowa się nie mogąc odezwać i w drugim ręku ciągle papier ściskając.

Towarzysz uśmiechnął się widząc go tak poruszonym i do Józka się zwrócił.

— Kursor dostał na piwo — a no mnie też w gardle sucho, bom się pod złotym gołębiem wypiewał. Jeśli macie się co dać napić, nie pogardzę.

Skoczył chłopak do drugiej izby, w której dzban stał i kubek wzięwszy wina mu nalał, które ze smakiem ryży wychylił.

— Bóg zapłać—rzekł,—już was też nie będę nudzić, bo listy z domu, sprawa wielka a świadków do niej nie trzeba. Niechże wam one dobre wieści przyniosą.

Wojewodzie prawie tych słów nie dosłyszał, gdyż drżąc jeszcze na papier patrzył, którego pieczęci złamać się wahał. Aż gdy i kursor i student precz wyszli, wolnym krokiem skierował się ku pierwszej izbie, kędy za nim Józiak niósł światło.

Oba milczeli strwożeni. Chłopcu łatwo odgadnąć było co pisma zawierały, a Janusz też po kilku wezwaniach do powrotu, czego innego nie mógł się spodziewać tylko nowego przynaglenia, surowszego nad te co je poprzedziły.

W tym liście, który trzymał ciągle w rękach lękając się go otworzyć, był wyrok nań rodzicielską zapisany ręką, wyrok nie cofnięty. Z tym listem kończyły się dni młodzieńczego wesela i marzeń, a rozpoczynało twarde obowiązku życie.

Józiak jakby oczekiwał na złamanie pieczęci, stał trzymając światło w ręku. Nic nie mogło pomódz wahanie. Janusz zwolna skruszył wosk i rozwiązał sznurek. List był jeden na dużej karcie cały ręką Wojewody pisany, w słowach krótkich i surowych.

Mówił w nim ojciec, że chyba niedojścia listów pierwszych domyślać się musi, nie widząc

ich skutku. „Zaraz po odebraniu pisania naszego,—dodawał zwięźle—masz waszmość, nie mieszkając, rzuciwszy wszystko, udać się w drogę; od czego śmiertelna tylko a obłożna choroba uwolnić go może. Nakazujemy powrót pod błogosławieństwem rodzicielskim, pod posłuszeństwem synowskim, bez żadnej odwłoki, ani listem na pismo nasze odpowiadać wam wolno, jedno osobiście się stawić.”

Zazwyczaj rodzice donosili o swem zdrowiu, dokładała kilka słów własnoręcznie matka. Tu nie było nic nad kilka zimnych wierszy, a ojciec podpisując je, powtórzył jeszcze iż posłuszeństwa wymaga i na nie rachuje.

Na odwrotnej karcie stała dyspozycya znaczyć później dodana.

„Po odebraniu pisania naszego we dwadzieścia cztery godziny masz Waszmość być w drodze—nigdzie po miastach i gospodach nie spoczywać: *Sub benedictione et obedientia.*”

Znał dobrze rękę ojca Wojewodzie, charakter jego wyraźny, jakby z żelaznych prętów wykuty. Takim pisany był list sam, a w kodycyllu ręka widocznie drżała i posuwały się litery, jakby pana swego słuchać nie chciała. Byłoli to gniewu skutkiem, choroby czy niecierpliwości?—zamyślił się Janusz. Wszystko troje złem prawie równem dlań było.

Józiak stał, czytać nie śmiejąc ze spuszczonej oczyma, aż gdy Janusz kartę na stole położywszy, ręce załamał i głowę na nią spuścił, odszedł zwolna dalej, stojąc na straży i czekając rozkazów.

Uplęnęła tak długa chwila. Wstał naostatek Wojewodzie.

— Nieszczęsny proroku — odezwał się do chłopca — wywróżyłeś mi straszną godzinę. Znam ojca mego, gniewny jest. Nic listy nie pomogły, ani godziny dłuższej zwlec mi nie wolno. Rozkazanie ojcowskie jest, bym jutro puścił się w drogę. Ostatni dzień, wieczór ostatni—a potem ino Bóg jeden wie co?..

Wcale przeciwnego uczucia zdawał się Józiak doznawać: oczy mu się zaświeciły, niemal uśmiechnęły usta, drgnął jakby już lecieć chciał do konia.

— Więcby począc zaraz!—zawołał—bo ja do jutra nie podolam, roboty wiele, czasu mało.

Wojewodzie na łóżko się rzucił jak stał i oczy wlepiwszy w strop, pozostał niemym.

Noc była nadeszła, a grzechotki stróżów odzywały się w ulicach, głucha cisza panowała zresztą w mieście. Na niebie czarnem tysiące gniazd mżyło, a z drugiej strony przez okno widać było ogromny księżyc zarumieniony wysuwający się za lasów. Pod tem samem oknem, drzewa ogródka gałęzmi gęsto splecionymi pięły się aż do kamiennych gzymsów jego i szemrały ledwie dosłyszczanym głosem, poruszone powiewem z daleka płynącym.

Wojewodzie wstał jak nieprzytomny, duszno mu było, poszedł, ujrawszy księżyc, to okno na ogród otworzyć. Chłodem jesiennym powiało z niego i płomyki świec stojących opodal poruszać się zaczęły. Janusz sparł się na krawędzi.

Tuż pod tem oknem jego, wiedział czyje otwierało się w ogródek.

Wdole na pniu drzewa i na liściach drżących błyskał promyk światelka, które płynęło z sypialni Frydy. Tam także czuwał ktoś jeszcze... ale szyby zamknięte były — i żaden

głos nie dochodził go ztąd jak innych wieczorów. Tylko liście pozołkłe z cicha osuwając się, wiatrem pędzone szeleściły, objijając się o szyby, i ku ziemi wirując leciały.

A światło nie gasło? Dla czego nie spała Fryda? Czy się modliła? czy o nim myślała? czy rozstanie odgadła? Wojewodzie zadumał się długo. To światelko drżące było dla niego nią samą, bo jej ono przyświecało. Cekał znużony by zagasło, nie chcąc odejść, by jego promyka nie stracić. Jutro już... świecić miało pustce i nikt się doń nie mógł tak modlić — jutro, straszne jutro... przerażało go... Po za nim Józiak już się tam krzątał, cicho znosząc co mógł pochwycić. Ta niecierpliwosc chłopca męczyła go, ale rzec nic nie śmiał.

Wśród tych dum, zadrżał—w dole brzęknęły w olów oprawne szyby, połowa okna otwarła się zwolna, dojrzał białą rączkę małą, która się wysunęła, zatrzymała i znikła. W chwilę potem, ukazały się złote włosy rozplynione po ramionach w nieładzie—podniosła się główka do góry. Fryda patrzyła w ciemne drzew gałęzie, ku niemu. Może go przeczuła. Serce uderzyło Wojewodzie... i pochylił się w dół jakby spodziewał się choć oddech jej pochwycić.

Piękne dziewczę osłonięte ciemną chustą, na której sploty warkoczy wiły się kapryśnie, sparło się na kamiennej okna oprawie i uśmiechnęło ku górze. Janusz widział jej usteczka różowe smutnie otwarte tym pół-uśmiechem marzenia. Nie mogli jednak przemówić do siebie słowa. Tylko złamawszy z liśmi zielonemi jeszcze gałązkę, rzucił ją z góry Janusz i widział jak się na szybach strzymała, drżała, toczyła, jak ją biała chwyciła ręka i ku górze podniosła.

W tem ozwał się gdzieś z głębi głos Cioci Gertrudy słodczy pełen i przestrachu i widzenie znikło, a wnet i szyby okna, suchą i żółtą ręką wdowy porwane, zatrzasły się na wieki. I światło z wnętrza płynące, przytłumione spuszczonej zasłoną, zagasło...

IV.

Przez cały dzień następny nie zamykały się drzwi w izbie Wojewodzica. Od rana wiedzieli towarzysze iż jechać musi, i szli go pytać, żegnając, badać i boleć z nim razem. Nieodstępny prawie ryży ów przyjaciel siedział posepnie patrzając na zwijające się juki i sakwy podróżne. Józiak nie spał noc całą. Leżały suknie, książki, przybory poskładane i sznurami ściągnięte. Wojewodzie nie spełna wiedział co się z nim działo. W całym też domu czuć było, iż ktoś go taki opuszczał, po którym miała zostać nieprzemierzona tęsknota. Dzień ten smutny wszedł najpiękniejszym dniem jesieni, z ciepłym słońcem, niebem czystym i pogodą wiosenną. Jedwabne nici pajęczyn snuły się po odżytych kwiatach, gdzieniegdzie dzwigając jak perłę rosy kropelkę. W ogrodzie szelebiały ptaszki, a w ulicach wił się tłum korzystający z ostatnich dni pogody.

Ledwie ku południowi mógł się Wojewodzie uwolnić od natręta, który mu ciążył. Służąca puknęła dając znać, że czekano z obiadem. Janusz ze wschodów zbiegł szybko i znalazł się w pokoiku Frydy, w progu, oko w oko z dziewczką.

Stała tak czekając nań, cała w czerni ubrana, blada, smętna, trzymając w ręku zwiędłą wczorajszą gałązkę. Nie mieli jednak czasu przemówić słowa i ledwie pozdrowił ją przybyły, gdy weszła z przeciągniętą swą smutną twarzą Ciocia Gertruda, ciekawie wpatrując się w młodzieńca.

— Prawdaż to? — zapytała — że tak pospiesznie jechać musicie? Czy złe jakie wieści z domu? Czyż ani dnia strzymać się wam niewolno?

— Nocą pojedę, muszę, — rzekł cicho Wojewodzie — rozkaz ojca.

Fryda była tego dnia jak marmur blada; posłyszawszy te słowa odwróciła się nagle ku oknu i odeszła. Janusz postąpił kroków parę. Z wesołą jak nigdy twarzą, z drugiej izby na spotkanie wysunął się Hennichen, z którym już widzieli się z rana.

Stary złotnik ubrany był jak wczora, tylko na twarzy jakby przymuszoną, z umysłu odegraną okazywał wesołość.

— Święci się wam do podróży pora — odezwał się — będziecie mieli słońce i ciepło, a tych ku północy jadąc potrzeba. Pojedziecie do swoich, to się tam łatwo obcy zapomną.

— O nie, szanowny panie — odparł z żywością Janusz — gościnnego domu, pod którego dachem tyle się chwil spokojnych i szczęśliwych przebyło, nie zapomina się nigdy. A mam też tę nadzieję, że ojca przykazanie spełniwszy powrócę.

Hennichen bystro nań popatrzał.

— Nie radbym abyście o waszych niemieckich przyjaciółach zapomnieli, — rzekł wesoło — i dla tego postanowiłem wam, choćby niepotrzebny ciężar narzucić na drogę, byście o nas pamiętali, gdy nań spojrzycie; musicie to uczynić dla mnie, a przyjąć dobrem sercem. Wracając do nas kiedyś, daj Boże rychło, w zamian mi sztukę bursztynu przywieziecie, który kraj wasz rodzi a morze wyrzuca. Ja wam oto własnej pracy lichą daję pamiątkę.

To mówiąc ze stołu wziął przygotowany kubek srebrny pozłocisty. Naczynko było niemieckie, ale cacko choćby na stół królewski. Z wielką sztuką trybowane płasko-rzeźby wskróś je pokrywały, mieniając się w barwy srebra i złota. Oprócz tego wypukłym wieńcem bluszczu opasywał je u góry i dołu misternie splot rzeźbiony, a na pokrywie siedziała mała figurka aniołka. W pośród wieńca i w obwódkach świeciły drobne kamyki rozsiane, rubiny, opale i perły.

Zadrżała Wojewodzie ręką, którą po ten dar wyciągnął — niewiedział jak dziękować. Fryda z ciekawością odwróciła się, by dar ojcowski zobaczyć i pokraśniała na chwilę, ale wnet bladłość znowu twarz jej okryła.

— A! to cenny dar dla mnie — zawołał Janusz, — nie piękniejszego nie widziałem w życiu, lecz jakże mam go was pozabawiać?

— Wolę wam oddać niż innemu — śmiejąc się rzekł Hennichen, — my robotnicy skazani jesteśmy na to, by najulubieńsze rąk naszych twory, szły od nas w świat. Pocięcha jeszcze gdy myślimy, że je tam ktoś oceni i pokocha.

— Gdybym, czego nie przypuszczam, spóźnił się z powrotem, bursztyn wysłę umyślnym bodaj posłem — dodał Janusz.

— Inaczej go nie wezmę jak z rąk waszych, rzekł stary — a no, czas się i pożywać co Bóg dał — i ująwszy Wojewodzica pod rękę wpro-

wadził go z sobą do jadalni. Tu na osobnym stole u okna leżała czapka Hennichena, a przy niej zwit pergaminowy z pieczęcią w srebrnej puszcze ogromną. Rzucił na nią okiem mimowoli Janusz.

— Czyście ciekawi? — zapytał Hans prowadząc go ku oknu. — Od kilku już dni to otrzymałem, alem się wam chwalić nie chciałem. Niewielką ja do tego przywiązuję wagę, bo myślę, że bogaty mieszczanin lepszy jest od odartego szlachcica, jakich u nas po Burgach pełno — lecz u ludzi to coś waży. Jego Cesarska Mość zaszczycił mnie szlacheckim tytułem, alem pragnął, aby na tarczy pamięć rzemiosła została, i mam w niej trzy kubki złociste na krwawem polu, bo pot pracy wart krwi przelanej.

Rozwinął pergamin przed Wojewodzicem i ledwie mu nań dając spojrzeć, rzucił go na stół z pewnym rodzajem lekceważenia. Fryda oczyma ściagała na przemiany ojca i Janusza, który stał milczący i skłoniwszy się tylko a wieszając rękę podał Hennichenowi. Siedli tedy do stołu, gospodarz okazywał niezwykłą wesołość, może ażeby nią pokryć smutek dziecięcia, na którego objaw Ciocia Gertruda patrzyła z jakimś przestachem, a ile razy oczy jej spotkały się z wejrzeniem Frydy, potrzasała głową dziwnie. Nowy szlachcic mówny był i uprzejmy. Wypito zdrowie Wojewodzica i szczęśliwej jego podróży, a on nawzajem pana Hennichena, obiecując swój powrót. Mówiąc o nim spoglądał na Frydę, która nie śmiała spotkać się z nim oczyma. Pospępna była dnia tego i milcząca. Ciocia Gertruda składała to na ból głowy i na porę jesienną, w której zawsze delikatne dziecię cierpiało.

Gospodarz rozpytywał o podróż i przybory do niej — i tak zszedł obiad prędko, a Fryda jak tylko mogła porwała się od stołu by przejść do swojego pokoju. Właśnie w tej chwili Hennichen zawiązał niezmiernie żywą, poufną rozmowę z Ciocią, tak że sama przyzwoitość nakazywała Januszowi wstać i odejść, by im nie przeszkadzać, bo pochyleni ku sobie o coś żywo się umawiali. Nie mając co począć z sobą i popatrzywszy chwilę na piękną tkaninę antwepską, wyobrażającą sąd Arachny, Wojewodzie wolnym krokiem wysunął się za Frydą.

Ta chodziła niecierpliwym krokiem po pokoiku, to biorąc, to rzucając sprzączki po stołach rozłożone. Gdy się Janusz ukazał, spojrziała nań i szepnęła mu tylko...

— Za godzinę pod murami!

Pobiegła potem oglądając się do okna i smutnie główką pożegnała Wojewodzica, który nie śmiał dłużej pozostać.

Godzina ta spłynęła mu na przygotowaniach do podróży; nadchodzących natrętów pozbył się pod różnemi pozory, i sam jeden osłonięty płaszczem, pobiegł czekać za mury. Było to miejsce ustronne, staremi lipami ocienione, puste i choć piękne, nie miłe mieszkańcom, może dla blizkiego sąsiedztwa nowego cmentarza, który właśnie nieco opodał murem obwiedziono. Nikt tu z mieszkańców Wittenbergi nie zaglądał i wszyscy woleli inną, choć mniej ocienioną przechadzkę, gdzie więcej ludzi spotkać było można. Pod murami zwykle przechadzali się ci, co samotności pragnęli: zakochani studenci, niepokieszone wdowy, czasem starszek jaki, który wśród lip wygrzewał się w kątku słonecznym. Wysoki mur twierdzy od mia-

sta to miejsce osłaniał, równoległe z nim ciągnął się sznur lip starych i zapuszczona droga kamienista, którą rzadko wóz jaki się przesuwał.

Janusz chodził tu już od kwadransa zamysłony, z głową spuszczoną, gdy na przeciwległym końcu ukazała się w czerni, zakwefiona Fryda z ciocią Leną. Woląła ona tę twarzyczkę milczącą, nad zbyt troskliwą a niewygodną Trudę, przy której słowa rzec nie było można niepodsluchanego, bo krok w krok chodziła za nią, mieszając się do rozmowy. Ciocia Lena zbierała opodał kwiatki, a nawet gdy do niej przemówiono, potrzebowała powtórzenia nim dobrze zrozumiała o co idzie.

Fryda biegła przodem z żywością, jakiejby się po rannym jej smutku i ruchach powolnych spodziewać nie było można. Janusz przyspieszył też kroku na spotkanie. Chwile były policzone. Słońce schylało się ku zachodowi. Na bladej twarzyczce Frydy promień wesela zajaśniał.

— Śliczny by to był wieczór, rzekła, gdyby nie był może ostatnim — tej jesieni. Patrz pan, jak ziemia pod lipami liśćmi usłana: jak żółkną te, co się jeszcze na niej trzymają; na łące suche łodygi chylą się jak do snu, wszystko prorokuje zimę...

— A zima, dodał Janusz, nie jest-że wiosny prorocstwem?

— Któż powie, że jej dożyje? spytała Fryda.

— Dla czegoż truć się myślami tak smutnymi — odparł Janusz — lepiej podtrzymywać nadzieję, ja myśleć wolę o wiosnie.

Ciocia Lena szukała już opodał nieco kwiatków, których nie było. Gdzie niegdzie blada skabioza spóźniona, chwiała się wśród zeschłych listków. Fryda i Janusz mogli rozmawiać swobodnie. Odeszli kilka kroków.

Twarz dziewczęcia przybrała wyraz uroczysty i promienny, niebieskie oczy skierowała na Janusza i zdejmując z palca pierścień kosztowny, bawić się nim poczęła, nie mówiąc nic... Obracała go tak w paluszkach długo, nieśmiało, aż padł w piasek u nóg jej. Janusz schylił się aby go podnieść, dziewczę nie poruszyło się wcale. Trzymając go w ręku drżących, Wojewodzie przysunął się ku niej, jakby go chciał jej powrócić. Fryda cofnęła się na krok zarumieniona i potrzasała główką. I jeszcze nie przemówili słowa. Dziewczęciu zdało się tchu braknąć i głosu. Niebieskie oczy łzawe trochę podniosła ku niemu.

— Weź go — szepnęła z cicha — jestto pierścień mojej matki; niech ci przypomni tam, gdzie wszystko każe zapomnieć o nas, tych co tu za wami tęsknić będą,

— Pani moja, — drżącym głosem odezwał się Janusz — chciałbym pierścień dać za pierścień; nie mam innego nad ten, prosty, stary, bez wartości dla ludzi, a nieskończenie drogi dla mnie. Na krwawym jego kamieniu wryte przed dwóchset laty godło nasze rodowe. Dając je, daję ci słowo i porękę... w zastaw, moją czystą, niesplamioną tarczę, a to stanie za przysięgę. — To mówiąc zdejmował z palca sygnet z krwawnikiem, a dziewczę chciało go porwać i zerwawszy rękawiczkę wsunęło go na palec, próżno szukając takiego na którymby się mógł utrzymać.

Serce jej biło, niecierpliwiła się, pierścień

spadał z najstarszego z tych smukłych paluszków dziecięcych—lzy miała w oczach Fryda.

— Wasz drogi pierścień rodowy, jakże mi powiada wiele,— jam za mała abym chodzić w nim mogła!! Jakże to straszna wróżba!

— Ja mój nosić będę na piersiach, jak u nas relikwie noszą i świętości—dodał zmieszany Janusz.

— Tak? dobrze i ja włożę go na siebie, przytulę, schowam.

Z niecierpliwością dziecka Fryda poczęła już szukać sznurka przy sobie, jednym rzutem rączki urwała fręzlę płaszczyka i ze zręcznością kobiecą pruć ją zaczęła. Długi sznurek jedwabny starczył na oba pierścienie.

Z cichemi szepty wiązali je oboje i Janusz pierwszy schował ten swój skarb pod suknię. Fryda z większą jeszcze zręcznością zarzuciła na główkę czarny sznurek i zarumieniła się, czując jak chłodny pierścień spadł jej na piersi pod suknię.

— Z pierścieniem waszym nie rozstanę się nigdy, nigdy—rzekła — wyście go długo nosili, zżył się on z wami, mówić mi o was będzie. Słyszałam, że kamienie bledną, krasnieją i mówią o tych, z którymi żyły. Opal gaśnie gdy pan jego umiera. Ja codziem na krwawy kamyk patrzeć będę; on mi powie barwę swoją co się tam dzieje z wami? Nieprawdaż, hrabio Janie? nieprawda?

Uśmiechała się na pół smutnie, pół radośnie.

— Nie zmieni się on, tak jak ja się nie zmienię—odezwał się Janusz powoli—wiercie mi..

— Ja wam wierzę, ale mamże wierzyć światu co was otoczy, ludziom, losom? Najtwardszy człowiek pod niemi się ugina! A ja nic nie chcę więcej, tylko tej pewności, że wy po swój pierścień powrócicie.

— Z waszym pierścieniem — mówił Janusz, i korzystając z tego że Ciocia Lena znowu zatopioną była w zbieraniu ziółek, chwycił rękę jej, do ust niosąc. Fryda zarumieniła się, pobladła, zachwiała i Janusz musiał ją pochwycić aby nie padła zemdlona. Dziecię tak było wątłe, uczucie mogło je na chwilę uczynić silnym,—i mogło ubić jak piorunem. Oczy okryły się mgłą. Ciocia Lena rzuciwszy kwiatki nadbiegła co prędzej.

— Dziecię kochane — wracajmy! tam o nas będą niespokojni. Słońce już nad zachodem. Truda będzie nas pewnie szukała. Obiecałaś mi że króciuchno przejdziemy się tylko—boję się! proszę, wróćmy.

Fryda wahała się patrząc na Janusza, a ten stał smutny i milczący.

— Wszakże choć do furty miejskiej odprowadzić was mogę?

— Chodźcie z nami—odezwało się dziewczę—chodźcie.

Lena nie śmiała się sprzeciwiać. Poszli więc razem znowu, długą ulicą lipową, ale choć zwalniali kroku, wydała się im krótką, drzewa uciekały przed niemi, furta była tuż. Lena szła trochę przodem. Janusz jeszcze raz wziął dziewczęcia rękę drżącą, złożył pocałunek na niej i ledwie miał się czas cofnąć za wysoki starego muru, gdy przez furtę wybiegła szybkim krokiem ciocia Truda, przeleciała, niespokojna, z rozpuszczonym kwefem, szukając ich oczyma.

Zdawała się niezmiernie zdziwioną, widząc Frydę samą tylko z swą siostrą, i dopiero ode-

technęła gdy je ujrziała. Janusza widać nie było.

Szepejąc coś żywo dziewczęciu na ucho, Truda uprowadziła zbiegłą, która się jej poprowadzić dała posłuszna.

Wojewodzie drogą przeciwną pospieszył do drugiej furty miejskiej i inną bramą wszedł w ulicę. Choć cały dzień żegnali go z kolei współtowarzysze, musiał się jeszcze udać do gospody pod złotym gołębiem, aby kilku starszych pożegnać uroczyście. Dali tam sobie schadzki o zachodzie słońca, a właśnie się ono za lasy wkrótce skryć miało.

Ani wczorajszego tłumu, ani wrzawy nie było dziś w izbie studenckiej. Kilku tylko starszych, między nimi ryży ów towarzyszy, siedzieli nad kufkami piwa, rozmawiając po cichu.

Ogromna owa izba sklepiona, czarna, zadymiona, ze swemi długimi stoły na krzyżowych nogach, z ławami u ścian i wiszącymi na gwoździach kufkami glinianymi, wydawała się pustą i smutną.

Wolnym krokiem, z rękami pod fartuch włożonemi, potrząsając pękiem kluczy, przechadzał się u drzwi otyły gospodarz, mrużąc coś sam do siebie i nieustannie poprawiając czapki z futrem, którą miał łysinę pokrytą.

Pozdrowił on bardzo uniżenie wchodzącego Wojewodzica, na którego widok wstali z miejsc młodzi i podniósłszy kufle do góry, zawołali:

— Vivat palatinides noster! vivat.

Podając ręce z kolei wszystkim, siadł przy nich Janusz i zwrócił się do gospodarza, który przybiegł na skinienie.

— Ja dziś goszczę!—zawołał—dajcie nam przedniego sektu! Wypiję zdrowie dobrych towarzyszy, z podzięką za to, że obcego przyjęli jak brata i że w nich znalazł przyjaciół, gdy się lękał wrogów.

Ryży podniósł głos.

— Prawda to — rzekł — że Niemiec i Polak żyli zawsze jak dwa brytany z sobą, a byle się zbliżyli, zęby sobie pokazywali. Lecz, niechże starzy się jedzą jako chcą, bo ich rzeczą z mieczem chodzić na granicy, a młodym sercem miłości potrzeba, która plemienia nie pyta. Czasy też to inne, nie owe gdy się dzieć po lasach tłukła; cisną się dziś ludzie do ksiąg i do mądrości, a rozum jedna i zbliża...

Przykłaśnięto mowie.

— Wracacie do domu — rzekł drugi — nieście z sobą słowa pokoju i mądrości.

— A nie zdziciejcie tam—dodał żartobliwie trzeci—tak jak ptak chowany w klatce, który w lesie śpiewu uczonego zapomni.

Janusz nalewał sekt do szklanek.

— Prze zdrowie wszystkich uczciwych i rozumnych ludzi, jakiego bądź kolwiek narodu i plemienia; prze zdrowie dobrych przyjaciół moich i tego ogniska światła, w którym się nauczyłem myśleć...

— I myśl ze starych kajdan się wybiła—przerwał ryży. Nie zapomnijcie o tém tam, gdzie nad nią jeszcze kajdany ciężą... i gdzie my, co je kruszymy, bezbożnymi zowiemy się heretykami. Nieście światło do waszego kraju, a pracujcie abyście rozproszyli ciemności... Macie tam już poprzedników, którzy rolę zorali i użyźnili; wy ziarno siejcie. Wklefowa tam nauka nie była obcą, poszli inni apostołowie, bądźcie i wy jednym z nich. W narodzie wa-

szym jest już dosyć prawników, niech do ich liczby jeszcze jeden przybywa.

Janusz milczący postawił szklanke swoją.

— Tak jest—rzekł—pracować będę, prawdy się nie zaprę... lecz znam kraj mój i wiem, że tam przebojemby nie nie zrobił... węzowej chytrności potrzeba, aby się wcisnąć.

— I prostoty gołębiczy—dodał inny...

— Ni jedno ni drugie nie starczy—zawołał surowej twarzy młodzian—ale apostołów gotowych na męczeństwo, jak oni pierwsi chrześciance; chytrść nic nie sprawi, ani prostota, ale odwaga i ofiara.

— Zostawcie każdemu—przerwał ryży—takie środki, jakimi go ten natchnie *qui flat ubi vult*. Gdyby apostoła a choćby i męczennika potrzeba—dodał—szedłbym ja z ochotą. Palatinidesie nasz... skii a pójdę z tobą nawracać pogany! Ino słowo!

Janusz się zarumienił.

— Nie chciałbym na me sumienie brać—odezwał się — przyszłości twej; ani może wiesz jak dalece prawdę mówisz, wspominając męczeństwo... nigdzie ono nie jest łatwiejszem jak u nas.

— Tem ci chlubniejsza walka — rzekł ryży. Tu jest nas dosyć i więcej niż potrzeba... z ewangelją nową nam ztąd, z tej kolebki odrodzonego chrześcijaństwa, isć należy do innych narodów.

Obejrzał się...

— Tilius ma wielką ochotę do Polski—rozśmiał się jeden z końca stołu.—Prawdać to, że tam worek napchać można, ale i guza oberwać. Ryży się zarumienił i zagniewał.

— Tak, a tu guza wprawdzie oberwać łatwo, lecz na tem koniec, rzekł wdychając. Palatinidesie bierz mnie z sobą!..

Janusz spojrział nań dziwnie zamysłony.

— Zachęcać cię nie będę, ani odradzać nie myślę, a jeśli jechać zapragniesz, dla czegożbyś odpychać miał?

Tilius wstał żwawo.

— Słowo się rzekło—zawołał — jadę. Nie mam ani brata ani siostry, ani ojca ani matki, ani żywej duszy; nie mnie tu nie trzyma.

— A no — rozśmiał się ktoś z boku — a jejmość gospodyni, wdówka po barwierzcu, u której mieszkacie, co powie?

— On ci to od niej bodaj ucieka—przerwał inny cicho—bo się lęka, aby go nie poprowadziła do ołtarza.

Smiali się młodzi; Tilius wychylił szklanke i uderzył nią o stół.

— Hrabio Janie! idę do domu aby związać w chustę cały mój majątek, Składa się on z dwóch koszul, starej opończy i odartej biblii; nie wielki przybór, i za chwilę gotów stoję... za tobą w świat.

Ci, którzy to postanowienie zrazu za żart brali, zdziwili się, widząc, że Tilius ruszył prędko z gospody. Zaczęto szeptać między sobą. Studenci sądzili, iż to być musiało dawnem postanowieniem, które Tilius sposobnej chwili objawił. Zazdrościli mu jedni, odradzać byli gotowi drudzy. Janusz milczał. Ciężar to był dlań, ale się z tem wydawać nie chciał. Jedyńą nadzieją dlań ta myśl była, że kędys Tiliusa we Zborze po drodze porzuci, aby go z sobą do rodzicielskiego nie wiozł domu, gdzie mimo gościnności dawnej, nie wiedziałby z pełną co z nim poczynać.

Mrok padać zaczynał, gdy wojewodzie raz jeszcze pożegnawszy towarzyszy, odprowadzony przez nich w ulicę, ruszył ku domowi, kędy już konie zamówione Józiać musiał juczyc i do podróży gotować. Janusz trzymając się dosłownie rozkazu ojcowskiego, który szanować był nawykł, chciał przed północą wyruszyć i po księżycu dalszą odbywać drogę.

Lecz przybywszy pod kamienicę, znalazł tu niespokojnego Józka, który już całe przybrany i gotów ruszyć, niecierpliwł się chodząc po ganku.

Ledwie zobaczywszy wojewodzica poskoczył ku niemu, załamując ręce...

— Dobrze to u nas w Polsce—zawołał—gdzie nikt dnia i nocy nie pyta, gdy mu jechać trzeba, a niema praktyki by kogo zbójcy napadli, chyba w dzikich polach kędy się Tatarowie włóczą, lub u Tatrów, gdzie węgierskie opryszki zabiegają; a no tu nikt się na noc nie puści... ani koni nam dadzą.

— Czemu?—zapytał Janusz.

— Bo tu zbójcy po drogach powszedni chleb, i wszelakiego rodzaju rycerze naswą rękę, z którymi się spotkać nie zdrowo,—mówił Józiać,—trzeba będzie do dnia czekać.

Jeszcze rozmawiali gdy Tilius nadszedł niosąc swój węzełek w rękę. I ten był zdania, że noc do spania nie podróży jest przeznaczoną... i że do dnia białego lepiej się puścić było, niż po księżycu, gdy tylko upiory i widma jeździć zwykły. Nie w smak to poszło Januszowi, zwłaszcza, że z Tiliusem na karku, który go już opuścić nie chciał, nie mógł nawet z darowanymi godzin skorzystać. Chciał więc sam iść do woźnic i przewodników o konie, gdy Hennichen oknem wyjrzał, dowiadując się o co się spierali. Powiedział mu wojewodzie swoją biedę, dodał słowo Tilius, który rad się był pochwalić, iż z towarzyszem w drogę się puszcza.

— Przyznam się wam, hrabio miły — odezwał się gospodarz,—iżem ja o tém dobrze wiedział, że nocą nie pojedziecie. Wprawdzie gościńce u nas powoli się oczyściły z drapieźnych rycerzy, a no lepiej zawsze za słońca lasy przebywać; nie łącno do takiej drogi towarzyszy znaleźć, więc spędzicie wieczór u mnie, spoczniście potem na górze, a jak świt, niech was Bogi prowadzą.

Tilius uważał się też za zaproszonego, co mu niepospolitą sprawiało przyjemność. Weszli więc na górę, dokąd i Hennichen się udał, kazawszy wina z korzeniami i cukrem zagrząć, aby było przy czem siedzieć, póki by wieczery nie podano.

Udali się wprost do jadalnej izby, dokąd też zaraz i ciocia Gertruda nadeszła, ze zwykłą zapobiegliwością swą, dowiadując się a rozpatrując w ludziach i twarzach.

Jak z rana tak i teraz Hennichen był wesół bardzo. Ujął zaraz wojewodzica pod rękę i zostawiwszy Tiliusa na rozmowie wielce ożywionej z ciocią Gertrudą, która się nim mocno zajęła, wciągnął go we wgłębienie u okna.

— Przypadek nas poznał i zbliżył, czas nas poprzyjaźnił — ozwał się do wojewodzica — nie bierzcie mi za złe, że stary a doświadczony zapytam was z troskliwością dobrego sługi i przyjaciela: macie-li zasób na drogę? przysłał-li wam rodzic co trzeba?

To mówiąc w oczy mu patrzył pilno. Janusz się rumienił.

— Nie wiele potrzebuję — odparł — a zda mi się, że będę miał ile na drogę trzeba. Niemniej dziękuję wam, panie Hennichen, za ten dowód przyjaźni.

— Nie dziękujcie,—wtrącił stary — nagotowałem worek z dwóchset florenami złotymi. Nie wielka to rzecz. Nie zapotrzebujecie ich, to mi je odwieziecie lub przekażecie; a jeśli w podróży niespodzianego się co trafi, podziękujecie mi żem przewidział. Podróżowałem ja wiele, dodał, a nie pomnę żeby droga bez przypadku się obeszła, który zwykł na worku się kończyć. Widzę, że niespodziewanego zyskaliście towarzysza, który za dwóch jeść będzie pewnie... stoję więc przy swoim.

Podał mu rękę. Janusz już nie odpowiedział, wzruszyła go ta troskliwość, niemal ojcowska.

Ciocia Gertruda zakrzętała się tymczasem około wina, cukru i korzeni, postawiono kubki i zasiedli do nich, gdy Fryda weszła.

Czarny strój, który miała na przechadzce był zrzucony; niebieską włożyła sukienkę i pas nabijany złotem, tylko sznureczek czarny na białej szyi widoczny, pozostał niepokryty; przyciskała go rączką do piersi, a twarz jej choć smutna, była spokojną i niemal tryumfującą.

Na widok pięknego dziewczęcia, Tilius się zerwał z siedzenia, ruszył Janusz, uśmiechnął ojciec witając ręką jedynaczkę. Szła powoli, sunęła się raczej, i siadła zdala od nich, a ciocia Gertruda podbiegła zaraz z zapytaniem, czy choć naparstka wina nie wypije, zasłodzonego, by moc straciło.

Ale dziewczę odmówiło, potrząsając główką.

— Jeśli nie pijesz — zawołał ojciec — skazuję cię na karę, dzisiaj nam już przy cytrze zaśpiewać musisz, choćby jedną piosnkę. Jeśli nie dla mnie, to dla podróznego, który nas opuszcza. Niech mu dziewicza pieśń tętni w uszach ostatnia, aby miłe wspomnienie kraju naszego zachował. Nie każ się prosić bardzo, dziecię moje.

Na skinienie jego ciocia Truda wyniosła z drugiego pokoju cytrę i położyła ją na kolanach Frydy, która długo siedziała zadumana. Nie odpowiedziała nic — brzękły struny, cisza uroczysta trwała chwilę... i znowu zabrzmiały struny, aż nareszcie srebrny głos, świeży, słaby zrazu, dał się słyszeć jakby z oddalenia, i zbliżać się zdawał, i rosł, wypełniał. Twarzyczkę przebiegały strumienie życia, oczy pały, śpiewaczka drżała, pieśń się lała potokiem srebrnym.

A była to jedna z tych pieśni wiekuistej tęsknicy człowieka, co się rodzą wszędzie, gdzie teskni młodość i gdzie cierpi serce; jedna z tych pieśni, które się powtarzają po całym świecie, wszystkimi języki... co wywołują westchnienie z młodej piersi, łzę ze starych oczu.

I ciocia Truda też rozplakała się słuchając jej, przypomniała sobie bowiem jak przed laty pięćdziesiątą biegała za motylami nad Salą, i zbierała w zbożu bławatki... A na tem czole, które wieniec ich opasywał, były dziś zmarszczki i czepiec wdowi z czarnym swym zębem. Znak żałoby.

Janusz patrzył i słuchał... z oczów jej widział, że pieśń dla niego była nuconą, i czuł, że nigdy jej dźwięki z serca mu nie uleczą. Było to pożegnanie ostatnie.

Przed północą rozstali się w milczeniu, a do

dnia siadali na koń, i z okna widać było białą twarzyćkę, która za odjeżdżającymi patrzyła.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCYA.

Petersburg 17 (29) Grudnia 1873 r.

V.

Otwarcie nowego żeńskiego gimnazjum.—Projektowane wyższe żeńskie naukowe zakłady.—Towarzystwo Opieki nad nauczycielkami.—Bezpłatne publiczne szwalnie.—Wspomaganie studentów uniwersytetu.—Roczny budżet Petersburga.—Powódź.

Z okoliczności odkrycia pomnika poświęconego pamięci Cesarzowej Katarzyny II, otwarto w Petersburgu kosztem rządu siódme gimnazjum żeńskie, dla którego miasto ofiarowało od siebie dziesięć stałych stypendyów. Obecnie więc Petersburg liczy 7 żeńskich gimnazjów, 1 progimnazjum i osobne kursa pedagogiczne; zakłady te posiadają około 3000 uczniów. Spodziewają się, że w roku następnym, na zasadzie zatwierdzonego już przez rząd w głównych zarysach projektu, otwarte zostaną w Petersburgu i Moskwie dwa wyższe żeńskie naukowe zakłady, które bez wątpienia nie mało wpłyną na podniesienie oświaty kobiet i rozszerzenie koła ich działalności, przeważnie skupiającej się dziś na uciążliwym i często niewdzięcznym zawodzie nauczycielskim.

Dla polepszenia bytu kobiet, trudniących się w Rosyi nauczycielstwem i wychowywaniem dzieci, założono w Petersburgu przed kilku laty prywatne *Towarzystwo Opieki nad nauczycielkami*, mające na celu: dostarczać swym członkom lekcji i miejsce stałych; udzielać bardzo potrzebującym pieniężnych zapomóg i pożyczek; dawać im za najtańszą cenę stół i mieszkanie; urządzić przytułek dla niemogących pracować starych i niedołężnych nauczycielek, wydawać emerytury; otworzyć wzorową szkołę i utrzymywać bibliotekę, złożoną z dzieł treści pedagogicznej. Środki Towarzystwa stanowią: opłaty członków (nie mniej jak 3 rs. na rok) i osób udających się o wskazanie nauczycielek (po 5 rs.), ofiary prywatne, oraz summy otrzymywane z urzędzenia wieczorów literackich, publicznych odczytów i koncertów. Towarzystwo składa się z członków płci obojczy: honorowych i rzeczywistych, oraz z członków — nauczycielek i osób zajmujących się wychowywaniem dzieci, bez różnicy stanu, narodowości i miejsca pobytu. Ostatnie sprawozdanie o czynnościach tego Towarzystwa głosi, że 1 Stycznia 1873 r. posiadało ono 6523 rs. kapitału, przy 553 członkach, z których 302 zajmowało się nauczycielstwem lub wychowywaniem dzieci. W ciągu zeszłego roku zgłaszało się do Towarzystwa: o wskazanie nauczycielek 418 osób; nauczycielek zaś żądających lekcji lub miejsca stałego: rossyjanek 386, niemek 143, francuzek 79 i angielskich 34, w ogóle 642. Z tanich mieszkań i stołu skorzystało w ciągu roku osób 83, od których odebrano opłaty rs. 345. Zapomogi pieniężne i pożyczki udzielone zostały pięciu osobom na sumę 250 rs. Z biblioteki zaopatrzonej w 307 dzieł w 450 tomach, skorzystało w ciągu roku 36 osób, które wypotrzebowały do czytania dzieł 171. Naturalnie, że wspomniane Towarzystwo, przy tak słabym rozwoju działalności, nie zebrało jeszcze kapitału potrzebnego na urządzenie przytułku, szkoły wzorowej i kasy emerytalnej.

Mówiąc o środkach wspomaganie kobiet, wspomnieć jeszcze wypada, że w roku bieżącym została tu w czyn wprowadzona bardzo szczęśliwa myśl pomocy kobietom pracującym fizycznie. Staraniem naczelnika miasta, generała Trepowa, a kosztem osób prywatnych, otwarto w Petersburgu sześć publicznych szwalni, zaopatrzonych w dostateczną ilość maszyn do szycia, z których niezamożne kobiety bezpłatnie mogą korzystać.

W N. 23 Kroniki Rodzinnej zamieszczoną już była wiadomość o nowozałożonym w Petersburgu Towarzystwie Wspomaganie niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu oraz o śmierci z głodu studenta Dowgiałły. Wiadomość tę uzupełnić należy objaśnieniem, że jeszcze przed założeniem wspomnianego Towarzystwa, studentom udzielane były znaczne pieniężne zapomogi. Według zapewnienia tutejszych gazet, w ciągu roku 1872, rozdano niezamożnym studentom petersburskiego uniwersytetu stypendyów, oraz ofiar rządowych i prywatnych, na sumę 100,000 rs. Nie ulega wątpliwości, że nie danoby umrzeć z głodu i s. p. Dowgiałle, gdyby o nędzy jego wiadano, bo nawet dla oddalonych od Petersburga a trapiących dziś głodem mieszkańców gubernii Samarskiej posyłają się ztąd znaczne ofiary prywatne.

Municypalność tutejszego miasta niewiele jednak narzecz oświaty assygnuje. Przy rocznym dochodzie wynoszącym 4 miliony rs. Petersburg wydaje na zakłady dobroczynne 282 tysięcy, a na pomoc zakładom naukowym i stypendya dla uczącej się młodzieży tylko 52,800 rs. Finanse miasta nie mogą jeszcze przyjsć do równowagi. Według budżetu na rok 1874 rozchody mają przewyższyć dochody o pół miliona rs.; tymczasem są naglące potrzeby zbudowania stałych mostów na Newie, urządzenia dobrego bruku, lepszej kanalizacji i publicznych ogrodów, co niemało wpłynęłoby na polepszenie sanitarnego stanu stolicy.

Na zakończenie dzisiejszego listu pozostaje jeszcze nadmienić, że 2 Października Petersburg poniósł wielkie straty od powodzi. Skutkiem długotrwałego morskiego wiatru, woda w Newie podniosła się o 10 stóp nad normalny poziom, co nie zdarzało się przez pół wieku, od czasu groźnej powodzi 1824 r., kiedy powierzchnia wody była o 8 stóp jeszcze wyższą. Późno wieczorem woda zaczęła zalewać niżej położone ulice i place, po których pływno na czółnach, jakby po jeziorach i rzekach. Biedni mieszkańcy podziemiów nie mało ucierpieli na zdrowiu i majątku. Gdy kierunek wiatru się zmienił, woda tak szybko opadła, że zajmujący wyższe piętra mieszkańcy, których ostrzegające o niebezpieczeństwie wystrzały armatnie nie były w stanie obudzić, spoglądając nazajutrz na zupełnie suche ulice, ani się domyślali o nocnej powodzi.

Artur Dolński.

Kraków 2 stycznia.

Trudne do spełnienia stawiasz, szanowny Redaktorze, żądanie obrachunku z ubiegłego roku. W Krakowie życie płynie tak spokojnie, że nie wiem, jakby ująć w jedną całość te 365 dni, z których jeden do drugiego podobny jak dwie

kropki wody. To też właśnie według łacińskiego przysłowia o kropki padającej, co kamień żłobi, może właśnie ta monotonia życia podwawelskiej stolicy sprawia, że tu kamieni chyba trzeba się pytać o ślady życia. Nie podzielam zdania zmarłego poety, który mawiał, że w Krakowie kamienie czują jak ludzie a ludzie jak kamienie; nie zgadzam się zwłaszcza, co do drugiej części tego aforyzmu. Prawda, że kamienie mają tu serce, mają zwłaszcza pamięć. Niedziw też, że społeczność nasza może się wydać niejednemu skamieniałością z dawnych czasów. Wszystko co się tu raz wyrzycie, zostaje na wieczność; każda szczerba kosą śmierci zadana, zostaje na długo nie zapełniona. Więc prawda, że ludzie tutaj jak kamienie, ale jak kamienie Wawelu, co czują i pamiętają.

Skoro od porównania mineralogicznego zacząłem, mówmy dalej o kamieniach krakowskich. Jeszcze Sukiennice nie zwalone, nie zamienione w kupę zwalisk, jak to doradzają niektórzy zniecierpliwieni projektomania bez pieniędzy. Rzeczywiście kłopotliwy to pomnik przeszłości. Co z nim zrobić? Zburzyć, to wandalizm, wszak już wolne miasto Kraków ma na sumieniu piękny stary ratusz. Zrestaurować wiernie, stosując się do dawnego stylu, zachować niezmiennie wszystkie tradycje, a więc stragany krupiarek i szewcowych: temu się sprzeciwia pretensjonalność miasta, co chce się stroić jak elegantka i zaprowadza asfaltowe chodniki. Przebudować i zamienić w nowy piękny bazar, jak chciał plan hr. Platera: to znów archeologiczną utraci gmach cechę, a do wyświeżonej kaziemierzowskiej ruiny trzeba przebudować odpowiednio cały rynek krakowski. Zgoła tak źle, tak niedobrze. Lecz jeśli Sukiennice dostarczą tyle kłopotu, bo nie wiadomo na jaki je obrócić użytek, w r. 1872 doczekaliśmy się dokończenia restauracji kościoła Ś-tej Trójcy czyli Dominikanów. Wspaniała to świątynia i wielka łaska Boża, świetne świadectwo pobożności i ofiarności Krakowian, że po dwudziestu przeszło leciech znów powstała ze zgliszcza. Gdy jeszcze dymy pożaru 1851 r. zakrywały Kraków, wśród tłumu pogorzalców, co często całe swoje utracili mienie, przemawiał s. p. ks. biskup Łętowski następnie: „Jest w tej kłęsce coś straszniejszego nad samą kłęskę. Przetrwaliśmy wojnę, przetrwali powietrze, przetrwamy i ogień, bo to z Panem sprawa, który dopóki nawiedza, dopóty za dziatki swe ma. Ale kiedy odwieczne bazyliki płoną, to jakby usuwał się od nas Bóg i nie była już mu miłą chwała jego pomiędzy nami. Damyż więc upaść tym domom Bożym? Wyciągają one do nas ramiona, niby kości przodków naszych z grobów swych.” Odtąd minęło 22 lat. Kraków się odbudował i wzniósł z gruzów świątynie Pańskie. Przeto zwycięzko wytrzymał próbę dopustu Bożego. Jeszcze duch wiary w nas nie zamarł; to też obok domów Bożych wznieśliśmy także gmachy poświęcone nauce, biblioteka jagiellońska stała się prawdziwym arcydziełem zdobiącym nasze miasto, a gmach Towarzystwa naukowego ze składek zbudowany, stał się ogniskiem życia naukowego całej naszej społeczności.

Dwie te instytucje, którym naczelne w hierarchii duchowej i umysłowej całego kraju należy się miejsce, stara *alma mater* jagiellońska i młoda jej siostrzyca akademicka umiejętności

obchodzili w tym roku różne uroczystości i rocznice. Znane wam już są z innych opisów obchody kopernikowski, inauguracji akademii. Dodajemy do tego, że w roku ubiegłym przypadała czterechsetna rocznica śmierci Ś-go Jana Kantego. Professor i patron uniwersytetu jagiellońskiego niewątpliwie zasługiwał na podobne uczczenie jak Mikołaj Kopernik. Przepomniano jednak tę rocznicę, nie wchodzimy w to z jakich powodów. W każdym razie Jan Kanty podniesiony przez kościół do czci ołtarza, corocznie bywa wzywany przez pobożną ludność Krakowa z udziałem grona profesorów, uczniów i władz uniwersyteckich, a legendy o nim przechowały się do dziś dnia i w żywej tradycji krążą między ludem.

Akademia wyszła już ze stadyum wewnętrznej organizacji, utworzono specjalne komisje, historyczną, archeologiczną, przyrodniczą, historyczną sztuki, prawniczą, lekarską, fizyologiczną — i o dziwo! komisję filozoficzną. Zapewne to brzmi dziwnie, w dzisiejszych czasach pomiatania wszystkim, co od zmysłowego świata odrywa i przechodzi w świat idei; lecz w obec spazczenia wszelkich pojęć filozoficznych, w obec zaniedbania w kształceniu myśli i logicznym jej rozwoju, komisja filozoficzna nie jest taką anomalią, jakby się to komu wydawać mogło. Akademia jeszcze nie ogłasza konkursów na dzieła, bo też bardzo powoli płyną dary konieczne, aby mogła rozwinąć swą działalność. Smutny to objaw ubóstwa czy obojętności. Przykład hojnego daru s. p. Adama Potockiego mało kogo dotąd zachęcił.

Uniwersytet wzbogacił się w ubiegłym roku jednym pięknym zbiorem, który tak przypada do charakteru starożytnego miasta. W Norymberdze jest słynne na całe Niemcy muzeum germańskie starożytności; Kraków co ma wyższe od Norymbergi znaczenie archeologiczne, nie miał dotąd swego muzeum. Jest to wyłączną zasługą profesora Łepkowskiego, że taką utworzył instytucję. Gabinet archeologiczny uniwersytetu był niejako niespodzianką, bo nieprzebywając niemowlęctwa, od razu wystąpił z bogatym zasobem pięknych pamiątek wielkiej różnorodności. Są tu, zacząwszy od pogańskich wykopalisk, próbki nabytków klasycznej starożytności, jest kilkanaście innych pamiątek z pierwszych wieków chrześcijaństwa znalezionych w katakumbach rzymskich, dalej całe średnie wieki w małych okazach, ale wszechstronnych, malarstwa, rzeźby, ceramiki, złotnictwa i t. p. Oczywiście pamiątki polskie trzymają pierwsze miejsce, a podstawą ich hojny dar zbiorów bar. Rastawieckiego.

Skoro zapuszczamy się w zwiedzanie zbiorów starożytnych, winniśmy także zajrzeć do prywatnego antykwaryusza, do zbieracza, co temu całe poświęcił życie, i każdy grosz zarobiony odjmując sobie z pierwszych potrzeb, poświęcał kolekcji pamiątek ojczystych. P. Szymon Dutkiewicz, dawny profesor i kierownik pensjonatu męzkiego, ogłosił w tym roku katalog swych zbiorów. Są tam niektóre cenne obrazy Stachowicza, Hadziewicza, Orłowskiego, Michałowskiego i Suchodolskiego, jest bardzo bogaty zbiór najciekawszych autografów. Zaczawszy od Kazimierza Jagiellończyka podobno nie brak tu podpisu żadnego z królów polskich, a Zygmunta III, Jana Kazimierza, Sobieskiego, Stanisława Augusta jest po kilkanaście listów

i dokumentów. Oprócz tego większość historycznych podań jest tam reprezentowana. Pan Dutkiewicz posiada nadto kompletny zbiór wszystkich pomników Krakowa i okolic w bardzo starannych akwarellach pędzla Wojnarowskiego nauczyciela szkoły sztuk pięknych. Cały Wawel, Dominikanie, Franciszkanie, kościół Panny Maryi jest tam w komplecie, i wiele też pomników, po których ta jedyna została pamiątka, bo zniszczały w pożarze. Jest także ratusz krakowski zburzony na początku naszego stulecia. Zbiory te zgromadzone nie dla spekulacji, lecz przez zamiłowanie rzeczy ojczystych i sztuki, a które nazywał s. p. Wincenty Pol blizki przyjaciel p. Dutkiewicza, „smoczają jamą,” są dziś w skutek różnych niepowodzeń do nabycia. Właściciel miał już hojne oferty ze strony zagranicznych handlarzy, które odrzucił, chcąc przekazać owoc zabiegów całego życia w godne ręce rodaka.

Od starożytności przejdźmy do sztuki żywej i coraz bardziej rozrastającej się na tym gruncie rodzinnym, o którym niedawno jeszcze twierdzono, że niezdolny jest wydać tych kwiatów sztuki, co wzrastały pod niebem włoskiem lub na umiejętnie uprawnej glebie niemieckiej. Plejada malarzy pierwszorzędnego talentu zadała kłamstwo tej teorii.

Skromna szkoła sztuki pięknych w Krakowie, co już zarobiła sobie na wspomnienie w historii sztuki, w zeszłym roku rozwinięta została i oddana pod kierownictwo Matejki. Nie jest to jeszcze akademii, ale zawsze jest to już wyższa szkoła, którą z czasem mogła utworzyć to, co zowieśmy szkołą artystyczną. Wiadomo, że malarze nasi zaszczytne zajęli miejsce na wystawie wiedeńskiej i wytrzymali porównanie z malarstwem innych krajów. Zapewne, że doskonałość techniki dziś jest ogólną, a malarze nasi, zwłaszcza Matejko, zanadto są synami wieku, aby tej strony technicznej nie doprowadzali do potęgi niekiedy zbyt realistycznej. Mimo to jednak już w samych tematach, jakie służą naszym artystom, jest coś, co chroni od zupełnego realizmu; jest jakieś tętno wyższe, smętne, idei obcym nieznannej, ale odmiennej od tego, co dziś zwykle apoteozują. Nie siła, nie zmysłowość jest źródłem tych natchnień. Matejko w przerwie między jednym a drugim obrazem historycznym lubi sobie wypoczywać, tworząc mniejsze dzieła. Właśnie też ukończył mały obrazek, precyzyjnie zbliżający się do Messoniera, w świetności kolorytu, w śmiałości kompozycji zachowujący cechę tego samego geniuszu, który wydał Skargę, Unię i Batorego. Jak to płótno jest małych rozmiarów, tak i przedmiot jest drobnym historycznym epizodem. Marcin Bielski opisuje w swej Kronice, że za Kazimierza W-go oskarżono wojewodę poznańskiego, Maćka z Borkowic, o zbrodnię z rabusiami i przechowywanie rzeczy ukradzionych. Król wydał wyrok zamurowania wojewody w podziemnym lochu, gdzie żywił się chlebem i wodą niebawem umarł. Obrazek ten przedstawia wykonanie wyroku. Z jednej strony stoi wspaniała postać rycerza okutego w zbroję z karpiową łuską, z pawimi piórami na hełmie: to wykonawca, przedstawiciel sprawiedliwości z wyrazem pełnym niewzruszalności. Dwóch katów spuszcza skazańca do lochu; karmazyn jeszcze na nim, bo był wojewodą, ale za posłanie służyć mu będzie ta wiązka siana, którą wrzucają w otwór. Trzeba

przyznać, że artysta nie chciał rozrzewniać widza dla dotkniętego okrutną karą. Wyraz jego odrażający, postać raczej przypomina zawód rozbójnika niż godność senatora. Inne figury obrazu mało mówią, choć świetnie są przybrane. Jest to zarazem jedyny epizod z raubritterstwa w Polsce, a surowa kara, raczej na chlubę naszej przeszłości niż na jej oskarżenie zasługuje.

Inne utwory mistrza mniej pociągają. Są to portrety, w których realizm niczem nie kępowany wziął górę. Rzecz dziwna, Matejko, który tak wspaniałymi portretami historycznymi zapełnia swoje obrazy, że zdawałoby się, iż można każdy z nich pociąć na czterdzieści kawałków i będzie czterdzieści arcydzieł, artysta, co tak wyśmienicie umie schwytać typy i nadać charakter pełny indywidualności każdej z osobna głowie, w portretach mniej jest szczęśliwy. Charakteru w nich nie brak, ale czegoś im nie dostaje, albo raczej jest czegoś za wiele. Jeśli się nie mylimy, jest za wiele ruchu i życia. Matejko jest przedewszystkiem malarzem czynu, malarzem historycznym, dramaturgiem pędzla, jak go jeden z naszych krytyków nazwał, Szekspirem palety. Warunki portretu są inne: potrzeba w nim spokoju, potrzeba wytłómaczyć duszę wewnętrzną tylko motywami bez zewnętrznej akcji. Od Vandycka, Tycyana i Rubensa, wszyscy wielcy portreciści tym spokojem, powagą i skupieniem wewnętrznym się odznaczają.

Mamy nadto świeży przykład i doskonałe porównanie przeciwieństw dwóch współczesnych malarzy świetnie reprezentowanych na wystawie krakowskiej. Naprzeciw Matejki portretów wiszą portrety Rodakowskiego, naprzeciw Maćka z Borkowic obraz historyczny tego znakomitego portrecisty „Wojna kokosza”. Portret Leona Kaplińskiego i nieznanego kardynała, są w swoim rodzaju arcydziełami. Bez przesady powiedzieć można, że lepiej nie malował Tycyan, ilekroć od wzniosłych tematów religijnych zniżał się do portretu. Wszystkie dobre tradycje najświetniejszej epoki umiał sobie Rodakowski przyswoić. A jednak gdy przeszedł od portretu do obrazu historycznego, wydał dzieło mierne, sztywne i zimne. Ma to być fakt burzliwy i gwarny, jeden z najcharakterystyczniejszych epizodów dawnej anarchii szlacheckiej; tymczasem jest to jakaś siesta włoska z kilkunastu figur ustawionych, jak gdyby każda z nich pozowała na portret. Nic ich nie wiąże w całość, nic nie porusza do działania, ani smętna zaduma Zygmunta Starego, ani wyniosłość postawy i tryumfująco intrygancki uśmiech Bony. Rodakowski jest przeciwieństwem Matejki. Jak pierwszy wychodzi z natury swego talentu, gdy porzuca portret dla historycznego obrazu, tak Matejko w portrecie chybia się z swoim powołaniem malarza czynu.

Jest jeszcze wiele ładnych obrazów na wystawie krakowskiej, która zatrzymuje tu wszystkie płótna wracające z ekspozycji wiedeńskiej. Jest kilka znakomych akwarel Kossaka, portretów Gradowskiego. Imponuje rozmiarami, śmiałością kompozycji olbrzymie płótno Jaroczyńskiego „Pokój toruński.” Cóż kiedy tej śmiałości nie odpowiada wykonanie! Należałoby rzucić okiem na rzeźby. Jest tu piękny ołtarzyk dłuta tej ręki, co dotąd poświęcona lirze nadwiślańskiej, pod włoskiem niebem studjuje mistrzów chrześcijańskich. Rzeźby Lenartowicza zwróciły już

uwagę znawców. Jest w nich wysoki nastrój religijny, jest poryw uczucia i wzniosłość myśli, ale brak siły w wykonaniu zresztą nader poprawnym. W tym dziale najznakomitsze niezaprzeczenie jest popiersie Andrzeja Zamojskiego dłuta zaszczytnie znanego artysty Gójskiego. Jest coś rzymskiego senatora, jest coś męża stanu w tej głowie wyniosłej i w tem pooranem cierpieniami obliczu.

WRAŻENIA Z WYSTAWY WIEDEŃSKIEJ 1873 r.

PRZEZ
B. Sulitę.

V.

Dla sztuk pięknych wybudowano na wystawie jedną wielką galerię nazwaną po niemiecku „Kunsthalle,” idwa małe pawilony „pavillons des amateurs” w których mieściły się obok obrazów i posągów pamiątki starożytności. Budynki wspomniane, dziedzińce pomiędzy nimi, kryte ganki, któremi się łączyły, urządzone zostały z wielkim gustem. Była to najzdobniejsza i najpiękniejsza część wystawy i najwięcej może zwiedzana. Garnięcie się to tłumów do dzieł sztuki wykazuje, że dla człowieka, jakkolwiek zepsutego materializmem wieku i używaniem, piękno nie przestało mieć powabu. Ono to pochwyca i unosi serca w wyższe, szlachetniejsze sfery ducha i wyciska na nich boskie piętno umoralnienia. Sztuki piękne, jako środek umoralniający, mało dotąd były oceniane, a przecież są one w rzeczy samej jednym ze sposobów, jakich Opatrzność używa dla doprowadzenia ludzkości do wyższego stopnia udoskonalenia. Dla dzikiego, obraz jest rzeczą niezrozumiałą, na którą za ledwo zwraca on uwagę; gdy już człowiek zaczyna rozróżniać i pojmować przedmioty wymalowane, znak to dobrze rozbudzonej myśli; gdy się zaś lubuje w przedmiotach sztuki i ocenia je, nietylko myśl w nim jest ukształcona, ale co ważniejsza i uczucie jest więcej wyrobionem i udoskonalonem. Kształcącemu to wpływowi sztuk pięknych przypisać należy, że wystawy obrazów i posągów są milej przyjmowane niż wystawy przemysłu i rolnictwa i więcej uczą niż tamte.

Do pałacu sztuk pięknych wystawy wiedeńskiej, wszystkie narody wysłały najpiękniejsze dzieła nowoczesnej sztuki. Był to rzeczywisty popis, godny wykształconego człowieka; były to nowe turnieje, w których nie siła i zręczność fizyczna górę brała, ale siła ducha i umiejętność. Popis ten był tem ciekawszym, że na nim palmę pierwszeństwa otrzymał naród, o którym nawet nie wiedziano, że uprawia sztukę, że poraz pierwszy przyznać musiano fakt istnienia szkoły malarskiej polskiej, zasobnej w geniusze i w talencie, i wyróżniającej się wśród innych nietylko kolorytem świetnym, szlachetnym i doskonałym rysunkiem, ale także bogactwem natchnienia, pięknocią kompozycji i oryginalnością pojęcia. Wielkie, klasyczne tradycje włoskie przeniosły się do tej nowej szkoły, która bez mecenasów, bez protekcji, w najtrudniejszych warunkach powstała i zakwitła, dzięki czarodziejkiej mocy poezji polskiej. Ideały poetyczne stały się dla natchnień malarzy zapładniającym gruntem i w powinowactwie z nimi szukać należy przyczyny tej samorodnej sztuki, która jak piękny kwiat aloesu

w pustyni rosnącego, wytrysnęła w górę wśród spiekoty materyalnych stosunków. Zazdrośni Niemcy, acz niechętnie, przyznać musieli pierwszorzędną zaletę polskim malarzom, a nie mniej od nich w swoich tylko rzeczach lubując się Francuzi, wyrzekli, że lepszego w trudnym rodzaju historycznym malarza nad Jana Matejkę, nie posiada żaden naród ani też lepszego portrecisty nad Rodakowskiego.

Matejko wystawił cztery wielkie historyczne obrazy i siedm portretów, które znawcy zalicyli także pomiędzy mistrzowskie dzieła. Historyczne obrazy Matejki mają zawsze za przedmiot wypadki i rzeczy z dziejów Polski. Wspomniane cztery obrazy przedstawiają: „Przysięgę Zygmunta Augusta i Senatorów w Lublinie 1569 roku;“ „Stefana Batorego, przyjmującego poselstwo od Iwana Groźnego;“ „Kazanie Skargi w obec Zygmunta III i jego dworu“ i wreszcie „Mikołaja Kopernika“ w chwili kiedy odkrywa, że ziemia i planety krążą w około słońca. Nie będę opisywał szczegółowo treści tych obrazów, dostatecznie znanej z licznych sprawozdań we wszystkich językach, wspomnę tylko, że najpiękniejszym z nich co do kompozycji jest Zygmunt August, a najświetniejszym co do kolorytu Stefan Batory. Matejko jako kolorysta nie ma sobie równego w Europie. Wprawdzie Makartowi w Wiedniu przyznają zdolność nadawania większego jeszcze blasku farbom; nam się jednak zdaje, że Makart nie umie godzić farb z sobą, że harmonia, która jest najwyższym szczeblem dla kolorysty, nie jest jeszcze przez autora „Katarzyny Cornaro“ zdobyta. Obraz dopiero co wspomniany, najlepszy z tych jakie Makart wymalował, jest świetny i piękny, ale mało oryginalny. Kto zna obrazy Pawła Weroneza, Tintorettego, ten mógłby dopatrzeć się w figurach Makarta wielkiego podobieństwa. Jest to nietylko naśladowanie, ale pewne części obrazu mistrza wiedeńskiego są prosto skopiowane z obrazów weneckiej szkoły. Toż samo i o kolorycie powiedzieć można. Jest on odbiciem, jest wiernym naśladowaniem sposobów malowania Weroneza i Tintorettego. Niema w nim żadnej nowej kombinacji farb jak w obrazach Matejki, niema też nowych w ich blasku efektów. Matejko umie godzić z sobą i łączyć w harmonię najsprzecznějšíe farby, a jest przytem tak oryginalnym, że w żadnej galerii obrazów ani podobnego kolorytu, ani podobnych figur nie zobaczysz jak na jego obrazach. Orientalny przepych jego ubiorów, delie, aksamity, futra, atłasy, hełmy, zbroje, pióropusze, wymalowane są z dokładnością i z wspaniałością barw, przechodzącą wszelkie dotąd znane usiłowania. W charakteryzowaniu jest Matejko jeszcze doskonalszym niż w koloryzowaniu. Postacie na jego obrazach zdają się być żywe, a każda z nich jest jak księga, w której wyczytasz dzieje myśli i poznasz burzę namiętności, jakie niemi miotały. Makarta, Pilotego, Roberta Fleury, figury acz równie dobrze narysowane, nie posiadają tej wybitności i różnaitości charakterów, ile jej posiadają figury Matejki. Każda twarz, którą on wymalował, jest typową, niema w nich nic konwencyjonalnego, nic pospolitego. Długo studia możnaby robić nad temi postaciami a jeszcze nie wyczerpać wszystkich skarbów duszy, jakie w nie włożył mistrz krakowski. Kompozycja jest również żywym a pięknym ujęciem

natury. Postacie przez niego wymalowane grupują się swobodnie, w układzie ich niema nic teatralnego, jak w obrazach Pilotego, Makarta i innych znakomitości niemieckich i francuzkich. Są to sceny natchnione pojęciem, które umie przenikać tajemnicze słowo dziejów ludzkich i w obrazie oddawać te poglądy, do których uczony dochodzi po długich badaniach. Ażeby tak prawdziwie a wzniosłe malować historyczne życie, potrzeba kochać prawdziwie i czuć wzniosłe, jak kocha i czuje Matejko. Oprócz historycznych obrazów, znajdowało się na wystawie, jak o tém wspomniałem, siedm portretów pędzla Matejki. Z nich wszystkich najlepszym był portret trojga dzieci malarza: chłopczyka i dwóch dziewczynek, wymalowanych niezmiernie śmiało jak wszystko co Matejko maluje, i z wdziękiem nieopisanym. Portret Serafińskiego, notaryusza w Bochni, krewnego żony Matejki, należy także do dzieł, co uniesmiertelniają mistrza. Twarz ta pomarszczona i życiem znękana, jest arcydziełem pędzla. Portret pani Pusłowskiej jest równie znakomitym. Suknia czarna jedwabna i koronka przy szyi odmalowane wzorowo. Portret pani z Zakaszewskich hr. Potockiej jest przesławnie zrobiony; nie także nie można zarzucić portretowi pani Włodzimierzowej Cieleckiej. Szereg portretów Matejki kończył portret młodego pana Serafińskiego i portret żony naszego malarza, w ślubnym stroju, malowany wtedy, gdy koloryt jego utrzymywany był w tonie fioletowym, od którego jeszcze i Kazanie Skargi zupełnie wolnem nie jest. Dzieła Matejki, któreśmy wyliczyli, ich wysokie zalety, znalazły ogólne uznanie. Pań M. Maldier, krytyk, w pewnym francuzkim piśmie wyrzekł zdanie, na które się zupełnie piszemy: „że Matejko jest jednym z największych malarzy naszej epoki i że na wystawie pierwsze miejsce zajmował.“

Henryk Rodakowski wystawił bardzo piękny historyczny obraz „Kokosza wojna“ czyli nadanie przywilejów przez Zygmunta I pod Lwowem 1537 roku zebranej szlachcie, i pięć portretów z których każdy jest arcydziełem. Portrety Rodakowskiego wyobrażają: matkę artysty, siostrzennicę małżonki naszego artysty, jego brata w stroju pułkownika ułanów austryackich, portret księcia Aleksandra Czartoryskiego i portret biskupa mówiącego kazanie na ambonie. W jednej z książek poświęconych wystawie, czytamy takie zdanie o Rodakowskim: „Nie dopuścił się on nigdy żadnego błędu anatomicznego, a wierny naturze, przy najdokładniejszym rysowaniu z modelu, zachowuje zawsze swobodę życia. Portrety Rodakowskiego bywają zwykle bardzo podobne, dobrze ucharacteryzowane, pięknie ułożone i wolne od wszelkiej maniery. Czystość i poprawność rysunku uszlachetnia każdą figurę, a koloryt przyjemny i wyborna karnaeya nadaje urok niepopolity postaciom, co się z pod jego pędzla na płótno wydobywają. W malowaniu atłasów, futer, koronek, aksamitów i różnych innych materij jest także mistrzem.“ Rodakowski przez długi czas przebywał w Paryżu. Na wystawach stolicy Francji podobnie jak Matejko otrzymał pierwsze nagrody. Obecnie osiadł w rodzinem swoim mieście Lwowie.

Józefowi Brandlowi, który obecnie mieszka w Monachium, przyznano także, nie bez słuszności, talent pierwszorzędny. Jeden z krytyków

powiedział o nim, że jest najlepszym malarzem bitew. Jego pędzla bitwa Sobieskiego pod Wiedniem, przypomina najlepsze tegoż rodzaju dzieła holenderskich mistrzów. Ruch, życie ogromne, perspektywa pełna powietrza, koloryt jemu tylko właściwy, a pełen blasku i harmonii. Obraz ten zakupionym został przez szlachtę galicyjską i ofiarowany jako podarunek ślubny arcyksiężniczce Gizelli. Z dawniej malowanych przez Brandla obrazów, które się jednak na wystawie nie znajdowały, przypominamy wielki obraz „Bitwa Chodkiewicza pod Chocimem,“ „Pochód Lisowczyków“ i „Obóz w Wodzisławiu.“

Artura Grotgera zmarłego w Amélie les Bains (1867) a pochowanego we Lwowie, obrazy są powszechnie znane. Był to najpoetyczniejszy z polskich malarzy artysta i geniusz pełen najwznioslejszych natchnień. Na wystawę wiedeńską przysłał Włodzimierz hr. Dzieduszycki ośm kredką przez Grotgera robionych obrazów ze swojego zbioru we Lwowie. Wyobrażają one sceny z dziejów społecznych.

Juliusz Kossak wraz z Ludwikiem Passinim, Wiedeńczykiem, nie mają godnych siebie w akwareli współzawodników na kontynencie europejskim, a nawet w Anglii, gdzie jedna tylko gałąź malarstwa to jest akwarella rozwinęła się znakomicie, niewielu znaleźliby równych sobie geniuszów. Kossak przysłał na wystawę wiedeńską najpiękniejsze swoje obrazy, pomiędzy którymi pierwsze miejsce dajemy obrazowi przedstawiającemu Rewerę Potockiego, jadącego w kolasie w orszaku rycerstwa, i chłopka, który mu oddaje wyoraną buławę. Kossak jest mistrzem w malowaniu koni, lubi też malować stadniny. Jego pędzla: Mohort pokazujący na stepie pod lasem stadninę księciu Józefowi Poniatowskiemu i licznemu orszakowi wojskowych i pań przybyłych na koniach, jest prawdziwe artystyczne pięścielko. Legenda o Białonóżce, klaczy szlachcica Szreniawity, posłużyła Kossakowi za treść do jednego z bardzo ładnych obrazów. O zmroku Białonóżka, która była zginęła, wita swojego dawnego pana, wychodzącego wraz ze służbą z bramy swojej zagrody, a za wierną kobyłą stoi całe stado, które z sobą szlachcicowi przyprowadziła. Inny obraz równie dobrze narysowany jak poprzednie, przewyższa tamte wysokością pojęcia. Jest to Sobieski pod Wiedniem. Już jego husarze uderzyli na obóz wielkiego wezyra, bitwa wre z całą siłą, Sobieski na koniu otoczony sztabem przygląda się bitwie i błogosławi swoich krzyżikiem, który w rękę trzyma. Cześć się malarzowi należy za takie pojęcie chrześcijańskiego wodza. Uczynił wódz ten wszystko co mu umiejętność nakazywała, alenie zapomniał przecież o pomocy Boga i ściągą jego łaskę błogosławieństwem krzyża. Postać bohatera jest wybornie wymalowana, a cały obraz, jak wszystkie Kossaka, doskonale skomponowanym. Kossak zdaje się jakoby życie w locie podchwytował, każda postać, każdy koń u niego dysze, rusza się, jednym słowem żyje. Akwarella: książkę Eustachy Sanguszko w mundurze ułańskim, jest także piękna. Szarża pułku galicyjskich ułanów na czworobok włoski pod Custozzą (1866 roku) zwracała powszechną uwagę żywością, z jaką nasz malarz oddał atak dzielnego wojska. Oprócz wymienionych następujące jeszcze akwarelle Kossaka były na wystawie: Powrót

z towarzystwa przejażdżki przed pałacem Potockich w Krzeszowicach, Targ na konie w Krakowie na Kleparzu i wreszcie Omnibus warszawski, ciągniony przez nędzne żydowskie szkapy. Koloryt Kossaka mniej jest jaskrawym niż akwarelistów angielskich i ustępuje w świetności Passiniemu, ma jednak więcej harmonii i owej przyjemnej poświaty północnego klimatu, którą posiadają wszystkie przedmioty w naturze u nas widziane. (d. n.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Die Einheit des Menschengeschlechts. Antropologische Studien von P. M. Rauch. Augsburg, Butsch. 1873. Cena w Warszawie rs. 2 kop. 85.

Czy ród ludzki jeden stanowi gatunek zoologiczny, a przeto od jednej pochodzi pary, czy też istniejące dziś rasy tworzą gatunki odrębne, dla których kilka lub kilkanaście par prarodziców przyjąć należy—oto pytania, na które antropologowie dawali i dają dotychczas wprost przeciwne odpowiedzi. Za jednością gatunkową ludzkości, czyli za *monogenizmem* oświadczyła się wprawdzie większość pierwszorzędnych przyrodnawców dawnych i nowych, jako to: Humboldt, Cuvier, Linneusz, Buffon, Blumenbach, Owen, J. Geofr. St. Hilaire, Joh. Müller, Steffens, Burdach, Wilbrand, Flourens, Hugh Miller, John Herszel, Rudolf i Andrzej Wagnerowie, Karol v. Baer, Lyell, Huxley, Quatrefages ¹⁾ i Darwin ²⁾, wszelako i w liczbie zwolenników *poligenizmu* znajdują się naturaliści, których zasługi na polu przyrodnawstwa są w każdym razie niepospolite; należą tu mianowicie: Hermann Burmeister, Oken, Agassiz, Vogt, Carus, Gebel i inni.

Pytanie, którem się zajmowało tyle znamienitych umysłów, które wywoływało i wywołuje dotąd tak żartkie dyskusje w obozie badaczy specjalistów i pośród wykształconego ogółu, nie może być efemeryczne, błahe. Jakoż w istocie kwestya jedności rodu ludzkiego to kwestya doniosłości nieobrachowanej: pozostaje ona w ścisłej i nierozłącznej kojarzeni z nauką

¹⁾ Prace tego krytycznego badacza, mające za przedmiot kwestye jedności rodu ludzkiego, należą, zdaniem kompetentnych, do najlepszych w literaturze francuskiej. Są one następujące 1) „Unité de l'espèce humaine” (1861), 2) popularna „Histoire de l'homme,” nadewszystko zaś 3) „Rapport sur les progrès de l'Antropologie” (Paris, Hachette 1867, wielka 8-ka str. 570). Jedność gatunkową rodu ludzkiego uważa Quatrefages za pewnik, zdobyty drogą ścisłego badania.

²⁾ W dziele o pochodzeniu człowieka naturalista ten mówi: „Kto uważnie przeczytał interesujące dzieła Taylor'a (Early History of Mankind. 1865) i J. Lubbock'a (Prehistoric Times. 2 ed. 1869), nie może się oprzeć głębokiemu wrażeniu wielkiego podobieństwa, zachodzącego pomiędzy wszystkimi rassami ludzkimi... Ze zgodności w licznych drobnych szczegółach, dotyczących się zwyczajów, gustów i skłonności a zachodzących pomiędzy dwiema lub więcej rassami zwierzęcimi, wnoszą naturaliści, że rasy te od jednego wspólnego pochodzą prarodzica, który w te wszystkie właściwości był uposażony, i dla tego też wszystkie te rasy do jednego zaliczają gatunku. Ten sam argument z daleko większą siłą służyć może dla dowiedzenia jedności rass ludzkich. Ponieważ nieprawdopodobnem jest, ażeby liczne i drobne, bez żadnego znaczenia punkta podobieństwa w budowie ciała i w duchowych przymiotach mogły być całkowicie osiągnięte zupełnie niezależnie, przeto musiały być odziedziczone od przodków, uposażonych w te wszystkie właściwości. (Die Abstammung des Menschen u. die geschl. Zucht-wall, uebers. v. J. Victor Carus. Stuttgart, 1871—72. Tom I, str. 204 i n.)

chrześcijańskiego objawienia, toż z życiem praktycznym jednostek i ludów. Gdyby ta jedność zaprzeczona została apodyktycznie, stanowczo, gdyby pochodzenie od jednej pary uznano jednozgodnie za niemożliwe, natenczas Adam nie mógłby już pozostać praojcem wszystkich bez wyjątku ludzi, natenczas, jak uważa pomieniony wyżej naturalista Rudolf Wagner— „upadłoby historyczne chrześcijaństwo razem z nieodłącznym odeń stworzeniem człowieka, runęłaby niechybnie wiara w prawdę opowieści biblijnych, a cały gmach nauk naszego Kościoła, łącznie z teologią, byłby pozbawiony gruntu pod stopami.” Co się zaś tyczy strony praktycznej kwestyi, o której mowa, to aby pojąć jej następstwa i wagę, dosyć przypomnieć tę najmniejszą wątpliwość nie ulegającą prawdę, iż powszechnie obowiązki i prawa człowiecze o tyle jedno mają znaczenie, o ile ludzie poczytują się wzajem za członków jednej ludzkiej rodziny. Gdyby bowiem poczucie wszechludzkiego braterstwa znikło z oblicza ziemi, niewolnictwo oraz ohydny handel murzynami miałby logiczną rację istnienia, a tępienie Maorysów na Nowej Zelandyi i Indian amerykańskich stałoby na jednym moralnym poziomie z tępieniem wilków lub innych bestyj szkodliwych. Ztąd to pochodzi, iż poligenizm tak licznych posiada obrońców w Ameryce, gdzie nawet ponętą złota usiłowano skłonić filologów porównawczych, by ze stanowiska swojej umiejętności uświęcili niewolnictwo przez udowodnienie niemożności przyjęcia wspólnego początku języków i rass ludzkich, i gdzie w wydawanych *ad hoc* broszurach spotykać można było rysunki, w których profilom małp nadawano rozmyślnie więcej człowiecze rysy, niżeli profilom murzynów ¹⁾.

Z najnowszych publikacji, traktujących o jedności rodu ludzkiego, bogactwem materiału i gruntownością zaleca się przedewszystkiem dzieło, którego napis przywieśliśmy na czele niniejszej notatki. Zadaniem tej obszernej pracy (str. 428 in 8-vo maj.) jest złożenie dowodów, iż pochodzenie ludzi od jednej pary ze stanowiska nauk przyrodzonych uznanem być winno za *możliwe*, z przyczyny, iż przeciwko możliwości takowego pochodzenia nauki te żadnego niezbitego argumentu przytoczyć nie są w stanie. Zgodnie z najpierwszemi powagami przyrodniczemi określa autor gatunek zoologiczny, jako „zbiór wszystkich osobników, mogących rodzić płodne potomstwo w stopniu nieograniczonym, wówczas gdy odcienie i różnice pomiędzy osobnikami przekazywane potomstwu tworzą oddzielne rasy.” Ponieważ zaś zdolność do nieograniczonego rozmnażania się pomiędzy wszystkimi rassami ludzkimi jest faktem empirycznym, żadnej nie podlegającym wątpliwości, przeto za jednością gatunkową rodu ludzkiego przemawia już jeden dowód potężny. Zastanawia się następnie autor na d wspólnemi wszystkim plemionom ludzkim cechami, do których należą: ta sama budowa

¹⁾ Ob. Max Müller: *Vorlesungen über die Wissenschaft der Sprache* übers. v. Dr. C. Böttger. Tom I, str. 11. Genialny ten lingwista, bez względu na to, że wyznaje teorie pozytywistyczne, broni stanowczo wspólnego początku języków na zasadzie powinowactwa dźwięków, a od przeciwników takiego poglądu żąda udowodnienia niepodobieństwa wspólnego pochodzenia ludzi.

szkieletu i mięśni, ta sama organizacja fizyologiczna i temperatura ciała, jednaka średnia ilość uderzeń pulsowych, ta sama skłonność do chorób, wreszcie jednakie władze duchowe, jako to: rozum, mowa oraz uczucia moralne i religijne. Następuje potem rozbiór różnic pomiędzy plemionami względnie do wielkości ciała, długości życia, koloru skóry i włosów, budowy czaszki i miednicy, formy i objętości mózgu tudzież zdolności umysłowych. Rozbiór ten przekonywa, iż podobne cechy odrębne nie są właściwe żadnej rassie do tego stopnia wyłącznie, iżby mniej lub więcej często i w innych nie powtarzały się rassach.

Po ustaleniu tym sposobem jedności gatunkowej rodu ludzkiego jako naukowego faktu, odpiera pan Rauch zarzuty, jakie ze stanowiska dziejów i geografii czyniono dotychczas możliwości pochodzenia ludzi od jednej pary, a mianowicie, że jedna para nie byłaby dostateczną dla zaludnienia ziemi; że niepodobna dowieść tworzenia się w czasie historycznym rass lub jakichkolwiek odmian rassowych; że przeto takiego tworzenia się i w przedhistorycznym czasie dopuścić nie można; że żadna rassa nie jest w stanie zaaklimatyzować się w obcym dla siebie klimacie; że ludy dzikie nie zdolne są cywilizacji; że autochtonowie Ameryki oraz niektórych wysp bliżej są już zniknięcia, a przeto organizm ich cielesny niższym jest od organizmu ludów ucywilizowanych, z kąd znowu wpływa przyjęcie niższych i wyższych gatunków ludzkich; wreszcie, że pierwotni mieszkańcy Ameryki, z przyczyny odosobnionego położenia tej części świata, mogą być jedynie tubylcami, nie zaś przybyszami. Wszystkie te zarzuty ocenił autor bardzo gruntownie i zręcznie, najobszerniej zaś rozebrał kwestye pochodzenia rasy amerykańskiej. Pod koniec pracy spotykamy rozdział p. t. „Mensch und Affe,” w którym autor traktuje o cielesnych różnicach, zachodzących pomiędzy człowiekiem a małpą, dowodząc przekonywająco, że najwyżej pod względem ustroju stojące małpy bliższe są niższych gatunków zwierzęcych, niż najbardziej upośledzone plemiona ludzkie. Do rozdziału tego dołączone są dwie ryciny, przedstawiające szkielety człowieka i gorylla.

Książka, którą się zajmujemy, napisana jest językiem popularnym, więc jasnym i żywym. Zamiarem autora było nie „wynalezienie czegoś nowego, co by stanowczo rozwiązało kwestyę,” lecz tylko „zestawienie rezultatów naukowych, wynikłych z badań nad punktami spornymi.” Niemiecka, francuska i angielsko-amerykańska literatura traktowanego przedmiotu uwzględniona została przez autora w bardzo obszernych rozmiarach, i ta właśnie okoliczność daje pracy pana Raucha pierwszeństwo przed innymi podobnej osnowy publikacjami.

Wł. D-i.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ks. J. C... w *Zopienicy*. Prenumerata roczna otrzymana. Książki wysłane.

P. Michałowi W. w *Podwysokiem*. Przez Redakcyę Kłosów otrzymaliśmy Rsr. 4 kop. 20. Na roczną prenumeratę należy się jeszcze dopłaty kop. 80.

P. Elżbiecie Z... w *Buchmach*. Prenumerata półroczna otrzymana. Katechizm wysłany. Za przesyłkę należy się dopłaty 15 kop.